Cena 1 zł

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok XI. Warszawa, 17 kwietnia 1955 r. Nr 15 (489)

Uniwersytetu Gdańskiego Biblioteka
c IV 9013

W imię pokoju i bezpieczeństwa...

WALKA przeciw remilitaryzacji Niemiec zachodnich, przeciwko nowemu Wehrmachtowi, o pokojowe rozwiązanie problemu niemieckiego, bynajmniej nie jest zakończona. Walka ta trwa i istnieją wszelkie możliwości, by zakończyła się zwycięsko. Siły pokoju we wszystkich krajach jeszcze bardziej spotęgują swój opór przeciw realizacji układów paryskich.

Ludzkość z nienawiścią i wstrętem odrzuca również myśl o wojnie wodorowo-atomowej. Ludzkość domaga się zakazu stosowania broni termojądrowej i zniszczenia jej zapasów. Narody świata wybiorą drogę, jaką wskazuje Związek Radziecki, drogę pokojowego zastosowania energii atomowej.

Naród polski popiera całkowicie rozumną i konsekwentną, pokojową politykę Związku Radzieckiego, która ponownie znalazła wyraz w oświadczeniu przewodniczącego Rady Ministrów ZSRR, Marszałka Mikołaja Bułganina. Idea rokowań i porozumienia na zasadzie poszanowania suwerenności każdego narodu, idea pokojowego rozwiązania spornych zagadnień, którą propaguje Światowa Rada Pokoju odpowiada również uczuciom i dążeniom polskich obrońców pokoju. Zapewniają oni obrońców pokoju wszystkich krajów o swej aktywnej solidarności w walce o wspólne cele Wyrazy braterstwa przesyłamy patriotom Francji, z którymi łączą nas uczucia tradycyjnej przyjaźni, niemieckim bojownikom o pokój nie tylko w Niemieckiej Republice Demokratycznej, ale i w Niemczech zachodnich, walczącym przeciw odrodzeniu militaryzmu niemieckiego, o pokojowe zjednoczenie ich ojczyzny.

Fragment rezolucji III Ogólnopolskiego Kongresu Pokoju.

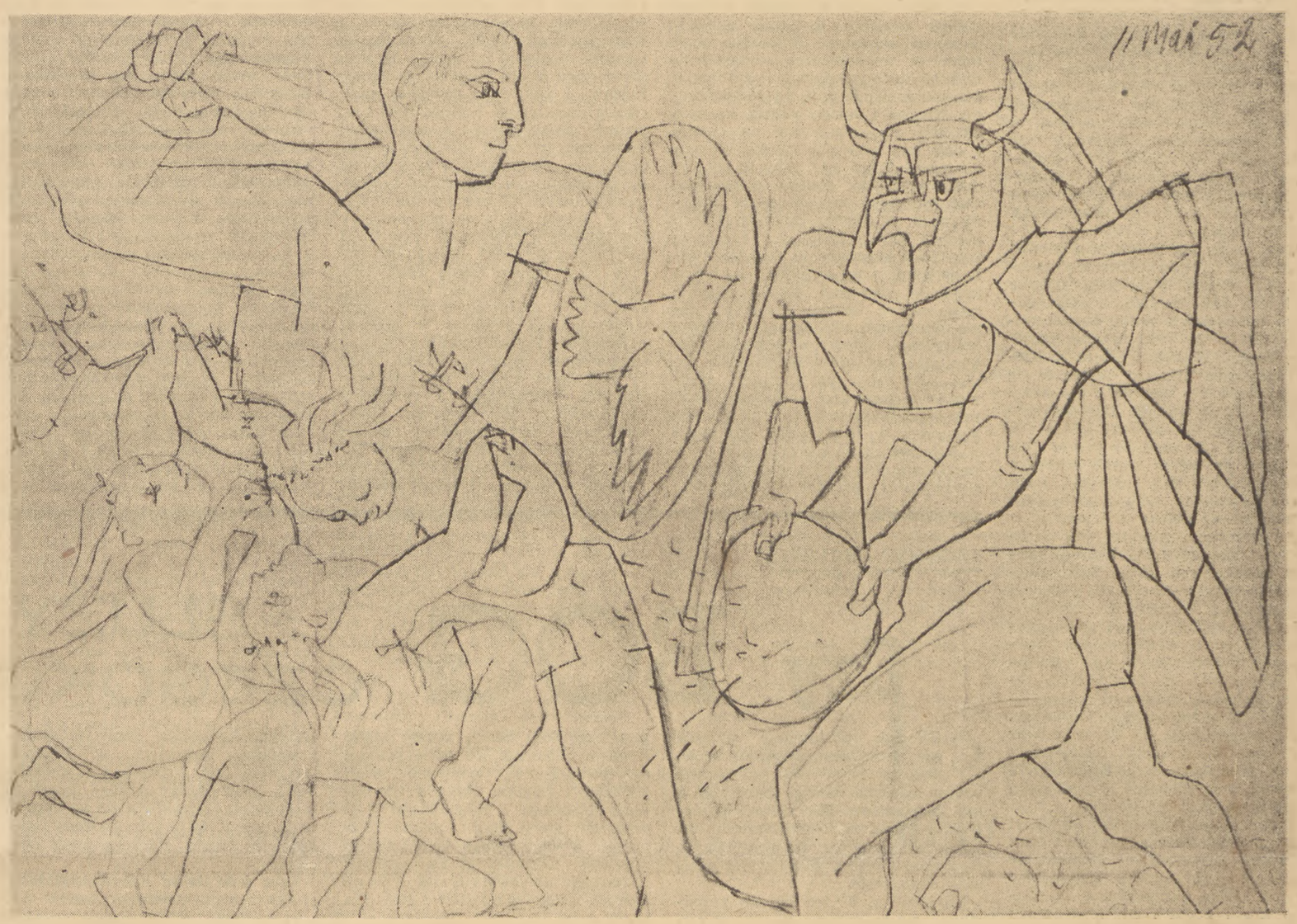

Pablo Picasso — Z „Wojny i Pokoju"

STEFAN J. KUROWSKI

OD „GEOGRAFII GŁODU" DO PLANOWANIA OBFITOŚCI

MA rację Josué de Castro, twierdząc, że takiej geografii jaką pokazał nam w swej pracy *) nie uczono dotychczas w szkołach. Książka, która przedstawia tę nową geografię, została wydana w 1952 r. w Nowym Jorku, pod tytułem „The Geography of Hunger" i wywołała na Zachodzie olbrzymie zainteresowanie. W roku 1954 książka de Castro została przetłumaczona na język rosyjski i wydana w Związku Radzieckim. Jest zasługą „Paxu", że, jakkolwiek dopiero po dwu i pół latach — „Geografia głodu" dotarła jednak do rąk polskiego czytelnika. Ożywione rozmowy i komentarze wskazują na niezwykłe zainteresowanie i ferment myślowy, jaki wywołała ta sensacyjna (nie zawahajmy się użyć tego słowa) pozycja wydawnicza.

Przyjrzyjmy się „Geografii głodu". Autor jej, przewodniczący Komitetu Wykonawczego Organizacji do Spraw Wyżywienia i Rolnictwa (FAO) przy ONZ, jest, z racji swego stanowiska, człowiekiem jak najbardziej powołanym do postawienia tragicznej problematyki głodu w centrum uwagi opinii światowej. De Castro nie napisał książki naukowej *sensu stricto*. W „Geografii głodu" nie ma tych wszystkich niezbędnych, a zawsze nieco nużących rekwizytów każdego dzieła ściśle naukowego: przypisów, bibliografii, odnośników, systematycznego toku wykładu, pedanterii w podawaniu źródeł. Czasem jest to nawet ze szkodą dla książki, jak np. wtedy, gdy autor nie podaje lat, do których odnoszą się przytoczone dane statystyczne.

De Castro wybrał dla swej książki inną, lżejszą formę, niezwykle popularną na Zachodzie, formę essay'u naukowego. Oczywiście było to zamierzenie świadome — książka miała dotrzeć do jak największej liczby czytelników. Tym należy tłumaczyć dążenie autora do tego, by pisać ciekawie, interesująco, nieraz wręcz, jak powiedzieliśmy wyżej — sensacyjnie. Oto tytuły niektórych rozdziałów: „Woda pustoszy świat", „Bankructwo Eldorado". „Rolnicy od czterdziestu wieków", „Miłość, sport narodowy", „Planowanie obfitości".

*

Co to jest głód? De Castro jest biologiem i precyzuje pojęcie głodu ze ścisłością specjalisty. Mówiąc o głodzie potocznie rozumiemy stan, jaki powstaje wskutek braku podstawowej ilości i jakości pożywienia. Tymczasem nie ten głód jest najgroźniejszy. Oprócz głodu w ostrej formie istnieje o wiele powszechniejsze zjawisko głodu utajonego. Głód utajony, występujący w najrozmaitszych postaciach urasta w relacji autora do rozmiarów klęski w skali globu, zagrażającej cywilizacji. Dwie trzecie ludności na świecie głoduje! Czym jest głód utajony? Jest wynikiem niedoboru w pożywieniu składników, które są niezbędne po to, by organizm ludzki rozwijał się normalnie. Głód utajony, chroniczny występuje najczęściej jako głód białka, soli mineralnych i witamin. Ostry niedobór tych składników powoduje degenerację fizyczną i psychiczną pokoleń, wywołuje straszliwe choroby szerzące się z szybkością epidemii, hamuje postęp kultury na całych kontynentach. Po przeczytaniu książki dochodzimy do wniosku, że nie ma kraju na świecie, w którym by ludzie w pewnym stopniu nie cierpieli głodu.

Niewątpliwie, jeśli chodzi o fakty, de Castro ma rację. Natomiast społeczna interpretacja tak szerokiej definicji głodu budzi pewne zastrzeżenia. Bo jeśli stwierdzamy, że w kraju tak bogatym jak Szwecja pożywienie kilkudziesięciu procent ludności wykazywało niedobór witamin A, B i C — jest to pod względem społecznym chyba inne zjawisko niż straszliwy w swych skutkach głód tych samych składników wśród mieszkańców krajów kolonialnych wywołany eksploatatorską polityką imperializmu. Toteż, żeby, przy tak szerokim ujęciu zagadnienia głodu, nie zamazywać społecznych aspektów problemu należy wyraźnie stwierdzić, że przyczyny, zwłaszcza jakościowych niedoborów w pożywieniu, mają bardzo różnorodny charakter. Obok nędzy całych narodów i klas społecznych niepoślednie miejsce zajmują tu przyzwyczajenia ludności do dość jednostajnego pożywienia, pewne wierzenia religijne zabraniające jedzenia niektórych potraw, wreszcie, do niedawna, nieznajomość naukowych zasad racjonalnego żywienia. Jednak nauka żywienia zrobiła znaczne postępy, a przyzwyczajenia ludności zmieniają się, zakazy religijne w zakresie wyżywienia tracą na ostrości. Na polu walki z głodem pozostaje więc jeszcze tylko najważniejsza z jego przyczyn — nędza. Dopiero koncentracja uwagi na tej przyczynie i jej źródłach pozwala na wydobycie wszystkich społecznych aspektów, jakie tkwią w problematyce głodu.

Trzeba stwierdzić, że de Castro czyni to z niezwykłą pasją i wnikliwością. Współczesny imperializm — głosi on — stosujący wyzysk kolonialny wobec krajów kolonialnych i zależnych jest głównym twórcą obecnej geografii głodu na naszej ziemi. Stawiając tę tezę de Castro traci w tym momencie beznamiętną postawę badacza i przybiera postawę walki. Trzeba czytać z jaką pasją mówi np. o klęsce głodu w Indiach, jak ostro polemizuje w tych momentach z neomaltuzjanami.

Właśnie — z neomaltuzjanami. Gdyż podejmując temat głodu i próbę wykrycia przyczyn tego zjawiska musiał de Castro podjąć dyskusję z teoriami maltuzjańskimi. W dyskusji tej autor „Geografii" zajmuje konsekwentne stanowisko. Czy mówi o przeludnionym Porto-Rico, czy o bezludnych połaciach Brazylii, czy o rosnącej w zawrotnym tempie ludności Japonii — de Castro uparcie twierdzi, że przeludnienie nie jest i nie może być przyczyną głodu. Wydaje się, że w tym miejscu autor chcąc jak najszybciej rozprawić się z przeciwnikami — dopuścił się pewnych uproszczeń. W ogóle, gdy czyta się książkę, mimo sympatii i szacunku dla autora, odnosi się wrażenie, że de Castro bardziej nas przekonuje, gdy mówi jako biolog, niż wtedy, gdy zabiera głos jako ekonomista, czy socjolog.

Jak się ma sprawa z przeludnieniem? Nie można negować faktów i oczywistych związków między nimi. A taki oczywisty i bezpośredni związek zachodzi w wielu przypadkach między gęstością zaludnienia a ilością środków żywności przypadających na jednego mieszkańca. Jeśli system kolonialny narzuca jakiemuś krajowi monokulturę i przez niekorzystny układ cen skazuje ludność na ubogie w składniki ochronne pożywienie — to wówczas między zaludnieniem a wyżywieniem związek, rzecz jasna, nie zachodzi. Lecz jeśli w innym kraju, o naturalnie ukształtowanej wszechstronnej gospodarce, ludność rośnie i zaczyna brakować żywności to *bezpośrednią* przyczyną pogarszającego się stanu wyżywienia jest przeludnienie. Taki kraj nazywa się właśnie przeludniony.

Toteż dyskusja z neomaltuzjanami nie może opierać się na gołej negacji faktów przeludnienia, lecz musi pójść po linii dialektycznej interpretacji tego zjawiska. Stosunek między gęstością zaludnienia i ilością środków żywności uzyskiwaną na jakimś obszarze zachodzi *i na krótką metę decyduje* o stanie wyżywienia. W dłuższych jednak okresach czasu stosunek ten jest przekształcany dzięki postępowi w zakresie produkcji środków żywności. Błąd Malthusa polegał na tym, że przypisywał obu członom tego stosunku fałszywą dynamikę (większą przyrostowi ludności); błąd neomaltuzjanów sprowadza się zaś do tego, że w ogóle cały układ traktują jako statyczny, odmawiając mu dynamiki.

Tym niemniej trzeba stwierdzić, że przyrost ludności odbywa się w sposób ciągły, zaś znaczniejszy przyrost środków żywności wymaga skoków, zmian jakościowych: zmian metod produkcji, które z czasem muszą znaleźć wyraz w zmianie instytucji społeczno-gospodarczych. Dlatego często pozostaje on w tyle za wzrostem ludności i wówczas przy *danym* stanie techniki i przy *danym* ustroju społecznym następuje *przeludnienie*. Może się jednak okazać, że na pewnych obszarach przyrost ludności jest tak szybki, że wyprzedza przyrost środków żywności możliwy przy jakiejkolwiek będącej do dyspozycji technice i przy jakimkolwiek ustroju. Wtedy oczywiście należy wyjść poza ten obszar i traktować ziemię jako całość. Tak też czynią wszyscy przeciwnicy Malthusa.

Rzecz nie w tym jednak, że de Castro w polemice z neomaltuzjanami dopuszcza się tu i ówdzie uproszczeń i popełnia niekonsekwencje. Chodzi o sprawę ważniejszą. W toku dyskusji autor stawia tezę, która staje się naczelną tezą książki. Doniosłość tej tezy przekracza bez porównania skalę książki i sprawia, że można tu mówić o perspektywie rewolucji w poglądach demograficznych, tak w aspekcie teoretycznym jak i praktycznym.

Autor „Geografii głodu" stawia pozornie sprawę na głowie; odwraca dotychczasowy stosunek i mówi: *nie przeludnienie jest przyczyną głodu, lecz głód jest przyczyną przeludnienia.* Oczywiście twierdzenie to z miejsca musi budzić sprzeciw i niedowierzanie. Taką reakcję widać np. u Z. Czajkowskiego, który w swej ciekawie napisanej przedmowie do książki de Castro wobec tej tezy zachowuje rezerwę. W miarę jednak, jak czytamy „Geografię", w miarę jak autor nam przypomina dawniejsze odkrycia w dziedzinie wpływu składników pożywienia na organizm ludzki — odkrycia, które współcześni przyjmowali z niedowierzaniem, niechęcią lub wręcz wrogo — zaczynamy sprawę traktować poważnie. Po przeczytaniu książki jesteśmy już zupełnie przekonani: de Castro dokonał nowego wielkiego odkrycia, de Castro ma rację!

Oddajmy głos samemu autorowi, który tak formułuje szkicowo swą teorię (str. 167): *Wiadomo, że istnieje bezpośredni związek między działalnością wątroby i jajników, ponieważ zadaniem wątroby jest usuwanie z krwiobiegu nadmiaru estrogenów wytworzonych w jajnikach. Tłuszczowe zwyrodnienie wątroby i skłonność do marskości są... charakterystycznym objawem niedoboru białka... Kiedy następuje zwyrodnienie wątroby, zaczyna ona działać mniej sprawnie i gorzej spełnia swą rolę, polegającą na usuwaniu nadmiaru estrogenów. W rezultacie zdolność zapłodnienia u kobiety wzrasta bardzo wydatnie".*

Oczywiście zjawisko rozrodczości u człowieka jest nie tylko zjawiskiem biologicznym. Jest także zjawiskiem społecznym i społeczne czynniki współdecydują o takim czy innym jego poziomie. Spadek urodzin w ostatnich kilkudziesięciu latach w Europie i Ameryce Północnej przypisuje się powszechnie czynnikom społecznym: wzrostowi zamożności oraz idącym za nią przemianom kulturalnym i obyczajowym a zwłaszcza zmianie sytuacji kobiety i rozpowszechnieniu środków zapobiegawczych. Są to procesy powolne i długotrwałe. Toteż nie umiano przy ich pomocy wytłumaczyć nagłych i krótkotrwałych nawrotów wysokiej rozrodczości, np. po każdej wojnie, kiedy wyżej wymienione czynniki społeczne działały bez zmian. Po beznadziejnej sytuacji w dziedzinie wskaźnika urodzeń we Francji w latach trzydziestych, w 1946 r. nastąpił gwałtowny wzrost, po kilku latach poziom urodzeń znów zaczął spadać. Oto ten niezwykle charakterystyczny szereg wskaźników: (źródło: Monthly Bulletin of Statistes, July 1954 r., wyd. ONZ).

URODZENIA WE FRANCJI
(na 1000 mieszkańców):

1939 — 14,6	1946 — 20,6
1940 — 13,6	1947 — 21,0
1941 — 13,1	1948 — 21,0
1942 — 14,5	1949 — 20,7
1943 — 15,7	1950 — 20,5
1944 — 16,1	1951 — 19,5
1945 — 16,2	1952 — 18,2
	1955 — 18,6

Aby wytłumaczyć te fluktuacje wskaźnika uciekano się do mistycznych tłumaczeń *o odrodzeniu się narodu francuskiego, o nowym duchu* itd. W świetle teorii de Castro sprawa przedstawia się o wiele prościej. To, czego nie dokonała przedwojenna intensywna propaganda populacyjna, nastąpiło w wyniku pozbawienia Francuzów na kilka lat obfitego w białko pożywienia. Teraz, gdy zaczęli już lepiej jeść — wszystko nieuchronnie wraca do dawnego stanu.

Teoria de Castro tłumaczy prawidłowo różnice w poziomie urodzeń u poszczególnych narodów, w poszczególnych grupach ludności i w poszczególnych epokach. Nie znaczy to, by należało przekreślać znaczenie czynników społecznych. Działają one tak, jak zaznaczyliśmy to wyżej. Ale poprzez działanie wszystkich czynników społecznych,

(Dokończenie na str. 2)

*) Josué de Castro: „Geografia głodu". Pax, Warszawa 1954 r., str. 283.

Dm 19/02

Od „geografii głodu" do planowania obfitości

(Dokończenie ze str. 1)

kulturalnych i politycznych przebija się czynnik biologiczny — zawartość białka w pożywieniu i ostatecznie on decyduje.

Teoria de Castro, jak każda rewolucyjna teoria, spotka się na pewno z niechęcią, a nawet z wrogim przyjęciem. W mobilizowaniu oporu przeciw niej będzie działał nie tylko konserwatyzm i wrodzona ludziom niechęć do spraw nowych, zmuszających do zmiany utartych ścieżek myślowych. Teoria de Castro spotka się z oporem, gdyż jest niewygodna politycznie. Ataki wyjdą z różnych stron. Gorliwi polemiści wybitnego biologa z pewnością wygrzebią w statystykach światowych przykłady przeczące jego tezom: że np. w Argentynie dużo jedzą mięsa, a poziom urodzeń jest wysoki. Te pozorne wyjątki po głębszym zbadaniu potwierdzą jednak tezę ogólną.

Jakie słuszne są w tej sytuacji pretensje autora „Geografii" do oficjalnej nauki za to, że tak mało zajmuje się sprawami wyżywienia a zwłaszcza niedożywienia. We wszystkich zestawieniach statystycznych statystyka konsumpcji zajmuje znikomo mało miejsca, a teorie ekonomiczne twierdzą, że konsumpcja nie może być przedmiotem nauki ekonomii i wyłączają ją programowo z zakresu swych badań. Tym gorzej dla konsumpcji i... dla ekonomii.

Gdy czyta się „Geografię głodu" widać jak szybko świat się zmienia. De Castro pisał swą książkę w latach 1948 — 1951, a część danych cytowanych przez autora odnosi się do lat bezpośrednio przedwojennych. W międzyczasie na wielu obszarach sytuacja zmieniła się gruntownie i zmienia się dalej. Plamy głodu znikają z mapy świata. Chiny są przedstawione w książce de Castro jako piekło głodu. Dziś po pięciu latach istnienia Chińska Republika Ludowa stała się eksporterem ryżu zaspokajając jednocześnie własne potrzeby w tym zakresie. Znika malaria i inne epidemie nękające ludność krajów tropikalnych. A od kilku miesięcy jesteśmy świadkami nowej gigantycznej bitwy o żywność. W Związku Radzieckim, dzięki inicjatywie N. S. Chruszczowa, rozpoczęto wielką pracę nad podniesieniem rolnictwa. Dwadzieścia osiem milionów hektarów stepu leżącego odłogiem zostanie zoranych. Jeśli przyjmiemy, że każdy hektar da tylko tonę zboża, otrzymamy nową produkcję dwu i półkrotnie większą niż globalna produkcja wszystkich zbóż w Polsce.

Dlatego optymistyczny rozdział kończący tę smutną geografię jest w pełni uzasadniony. Planowanie obfitości, gospodarka nadmiarów są już realną perspektywą. De Castro kreśli przed nami fascynujące możliwości, jakie w dziedzinie produkcji żywności otwiera przed ludzkością rozwój nauki. Jest taki zielony wodorost chlorella, który można hodować w wielkich zbiornikach wody, zasilając go związkami z dwutlenkiem węgla. Żywiąc tym wodorostem komórki drożdży można by zastosować łańcuchową produkcję żywności. Planuje się już budowę wielkich zakładów przemysłowych, w których będzie przebiegał cały taki cykl racjonalnej produkcji żywności począwszy od chlorelli. Jeden taki zakład mógłby wyprodukować ilości białka dostateczne dla wyżywienia 3 milionów ludzi. Jeszcze wspanialsze perspektywy stoją przed syntezą chemiczną środków żywności z substancji nieorganicznych. Zdołamy może uzyskać w drodze syntezy nawet chlorofil — ten element twórczy, dzięki któremu pod wpływem energii słonecznej powstają w roślinie żywność. *Budzi to w ludzkości nadzieje nowych możliwości, może nawet większych niż stosowanie energii atomowej.*

W walce z głodem ludzkość ma realne szanse zwycięstwa.

Na zakończenie kilka uwag pod adresem wydawcy. Książkę należałoby dostosować do potrzeb polskiego czytelnika. A więc zaopatrzyć w objaśnienia, dotyczące pisarzy i uczonych cytowanych przez autora. Należałoby przeliczyć również przytaczane przez de Castro dane statystyczne dotyczące ilości żywności i obszaru uprawy na miary metryczne (tony, hektary).

Uwagi te czynię w nadziei, że ukaże się drugie wydanie „Geografii głodu". Słusznie bowiem ktoś powiedział, że nie należy czytać książek dobrych — życie ludzkie jest na to za krótkie; należy czytać tylko książki najlepsze.

„Geografię głodu" warto przeczytać.

Stefan J. Kurowski

Redaguje Zespół. Prenumerata miesięczna 4 zł. Kwartalna 12 zł. Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43; tel. 8-60-11 (15). Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze. Zakłady Drukarskie i Wkleiodrukowe RSW „Prasa" W-wa Marszałkowska 3/5 Zam. nr 781 B-6-354

ANDRZEJ MICEWSKI

O STOSUNKACH KOŚCIELNO - PAŃSTWOWYCH W PIĄTĄ ROCZNICĘ POROZUMIENIA

PIĄTA rocznica Porozumienia zawartego między Episkopatem a Rządem, dnia 14 kwietnia 1950 r., nakłada obowiązek zanalizowania istniejących problemów z zakresu obecnych stosunków między Kościołem a państwem w Polsce.

Sprawy polityczno-wyznaniowe w naszym kraju mają ustalone, niesłabnące znaczenie, płynące przede wszystkim z faktu, że wiele milionów ludzi pracy w Polsce, budujących dziś ustrój socjalistyczny, wyznaje światopogląd katolicki. Jest więc rzeczą ważną, aby wykazać jak harmonizują oni swój światopogląd z zadaniami i postawą społeczno-polityczną.

Wrogie Polsce Ludowej siły polityczne na Zachodzie, nie troszcząc się o rzeczywiste dobro Kościoła i wręcz godząc weń, próbują czynić stosunki między Kościołem a państwem terenem dywersji przeciw państwu ludowemu. W wyniku przemian w świadomości ideowo-politycznej duchowieństwa i katolików świeckich zamiary te są torpedowane. Niemniej wroga robota na tym odcinku nie ustaje ani na chwilę i dziś nie jest ona wcale słabsza niż przed kilku laty. Aby to stwierdzić, wystarczy choćby przestudiować programy audycji radia zagranicznego w języku polskim. Teren polityki wyznaniowej jest kluczową pozycją tego programu, jest też z całą pewnością przedmiotem i innych zabiegów dywersji świata zachodniego wobec naszego państwa. Ciągła przemiana świadomości ideowo-politycznej katolików polskich, dokonująca się dzięki działalności ruchu społecznie postępowego, uniemożliwia realizację zamiarów świata imperialistycznego. Czynnikiem godzącym w te zamiary jest także z całą pewnością nasza troska o zapewnienie stosunkom kościelno-państwowym i polityce wyznaniowej odpowiedniej rangi. Brak tej troski może być wykorzystywany przez wywiad zagraniczny, który tylko czeka na tego rodzaju sposobność. Niedostateczna dbałość o stosunki między Kościołem a państwem byłaby na rękę także konserwatywnej części duchowieństwa, która nie rozumie jeszcze, że realizacja zawartego pięć lat temu Porozumienia między Episkopatem a Rządem musi się dzisiaj i w przyszłości odbywać w warunkach pełnego uwzględniania rozwoju sytuacji międzynarodowej i wewnętrznego życia narodu budującego socjalizm.

Istnieje wreszcie jeszcze jeden kapitalny czynnik przesądzający znaczenie polskich stosunków Kościół-państwo. Czynnikiem tym jest funkcja międzynarodowa polskiego modelu dwustronnego Porozumienia z roku 1950, oraz polskiego dorobku w zakresie układania współżycia i współdziałania ludzi wyznających odrębne poglądy na świat. W dalszym ciągu wielu ludzi na zachodzie Europy, a zwłaszcza poważne masy chrześcijan, wobec politycznych propozycji obozu pokoju i socjalizmu, które merytorycznie są nie do odrzucenia, nie przyjmują ich ze względu na problematykę odmienności światopoglądowych. Ci chrześcijanie i katolicy pytają, jakie są perspektywy światopoglądu religijnego w ustroju socjalistycznym. Od odpowiedzi na to pytanie bardzo często zależy ich stosunek do ustroju socjalistycznego, a nawet do politycznych wytycznych ruchu pokoju i ruchu w obronie cywilizacji ludzkiej wobec groźby użycia broni jądrowej. Polska, dzięki zetknięciu się po raz pierwszy Kościoła katolickiego z rewolucją socjalistyczną jest terenem obserwowanym ze szczególną uwagą przez masy ludzi wierzących na Zachodzie. Wysoki poziom polskiego modelu współżycia i współdziałania ludzi o odmiennych światopoglądach będzie czynnikiem mobilizującym masy chrześcijan na Zachodzie do walki o program obozu pokoju.

Z tych wszystkich względów kontynuacja linii dwustronnego Porozumienia między Kościołem a państwem posiada doniosłe znaczenie ideowo-polityczne. Znaczenie to pozostaje w ścisłym związku ze sprawą udziału katolików w budowaniu bazy gospodarczej państwa socjalistycznego. Rozciąga się ona na wiele dziedzin naszego życia narodowego, które jakkolwiek nie są związane z problematyką wyznaniową, domagają się udziału mas katolickich dla dobra sprawy ogólnonarodowej.

Ruch społecznie postępowy katolików, stawiając sobie zadania ogólnonarodowe, niekoniecznie zawsze związane z problematyką wyznaniową, konsekwentnie zabiega o linię dwustronnego Porozumienia i wysoką rangę polityczną stosunków: Kościół - państwo. Dla ruchu społecznie postępowego doniosłą rolę odgrywa świadomość inspiracji światopoglądowej katolików dla budownictwa socjalistycznego oraz międzynarodowe znaczenie współistnienia różnych światopoglądów w naszym kraju. Jesteśmy głęboko przekonani, że zasada i praktyka współistnienia wierzących i niewierzących w Polsce, podniesiona na odpowiednio wysoki szczebel ideowo-polityczny, może mieć kapitalne i przesądzające w wielu wypadkach znaczenie dla kształtowania się postawy politycznej mas chrześcijańskich na Zachodzie. W tym przekonaniu nie przemawia przez nas ani polska, ani światopoglądowa megalomania, ale realistyczna ocena faktów ilości i roli ludzi wierzących w Polsce i w wielu innych krajach europejskich. Dążymy do tego, by fakty powyższe brać pod uwagę dla skuteczniejszej realizacji sprawy pokoju i wyzwolenia społecznego, oraz w celu stworzenia szerszych perspektyw dla światopoglądu chrześcijańskiego w świecie socjalistycznym.

Z powyższych sformułowań wynika, że piąta rocznica umowy kwietniowej Episkopatu i Rządu z 1950 roku, która dała podwalinę ideowo-polityczną współdziałania ludzi o różnych światopoglądach, jest dla nas ważnym momentem oraz okazją do przypomnienia najistotniejszych zagadnień kościelno - państwowych. Zagadnienia te mają w Polsce całą swoją historię. Ruch społecznie postępowy katolików starał się we wszystkich okresach tej historii, także w momentach dramatycznych spięć, o ostateczne przesądzenie sprawy współdziałania ludzi o odmiennych światopoglądach dla dobra socjalizmu.

Po ostatniej normalizacji w stosunkach między Kościołem a państwem, którą mogliśmy obserwować przeszło rok temu, obecnie nie wydają się one być przedmiotem specjalnej aktywności politycznej. Stan ten nie powinien nikogo mylić i odwracać uwagi od nieprzerwanej konieczności pogłębiania linii dwustronnego Porozumienia. Postawa zadowolenia z faktu, że nic zasadniczego się nie dzieje, wydaje się najmniej właściwa u katolików. Skuteczność działania naszego światopoglądu w państwie socjalistycznym zależy od tworzenia pozytywnych przesłanek dla perspektyw katolicyzmu w świecie rewolucyjnym.

Poza tym nie należy w tej dziedzinie, podobnie jak w innych, kłaść głowy w piasek. Przeciwnie, trzeba umieć przewidywać. Otóż trudno przypuścić, by przy ogólnym rozwoju spraw społecznych, gospodarczych i politycznych w państwie ludowym jedno zagadnienie zostało wyłączone na dłużej z dokonujących się procesów społecznie postępowych. Dlatego staramy się konsekwentnie przypominać, że kontynuacja linii dwustronnego Porozumienia winna odbywać się w sposób odpowiadający rozwojowi sytuacji międzynarodowej i rozwojowi naszego życia narodowego. Ze strony katolickiej potrzebne jest konkretne reagowanie ideowe na kluczowe problemy narodowe i międzynarodowe, jak również dalszy krok w kierunku zmiany atmosfery ideowo-politycznej w poszczególnych instytucjach katolickich. Ze strony władzy ludowej poważne znaczenie posiada przywiązywanie znaczenia do wartości wkładu ludzi wierzących w budowę socjalizmu.

Uważamy, że o wiele pożyteczniejszy dla sprawy socjalizmu będzie przekonany do niej człowiek wierzący i działający z inspiracji ideowej swego światopoglądu, niż człowiek indyferentny pod względem światopoglądowym. Nic bowiem tak nie rodzi rozkładu społecznego i oportunizmu, jak postawa indyferentna. Dlatego katolicy, realizujący swoje postulaty światopoglądowe mogą wydatnie przyczyniać się do wyników budownictwa socjalistycznego w naszym kraju. Katolicy działają tu i będą działać w ramach więzi moralno-politycznej Frontu Narodowego.

Ruch społecznie postępowy katolików, którego organizacyjnym wyrazem jest Komisja Duchownych i Świeckich Działaczy Katolickich Frontu Narodowego, stanowi ważny instrument i bazę społeczną kształtowania się linii dwustronnego Porozumienia Kościół - państwo oraz współdziałania obywateli o odmiennych światopoglądach. Ruch społecznie postępowy nie zapomina o tej swojej podstawowej roli. Głos opinii społecznej ruchu zawsze jest w stanie odezwać się w momentach koniecznych z punktu widzenia kształtowania się stosunków między Kościołem a państwem. Rola ruchu społecznie postępowego katolików jako bazy społecznej i instrumentu realizacji linii dwustronnego Porozumienia i współdziałania wierzących i niewierzących jest obecnie w poważnej mierze zależna od stanu organizacyjnego ruchu. Tak długo, dopóki nie nastąpi ostateczna jedność organizacyjno-polityczna ruchu, jego możliwości oddziaływania w myśl linii Porozumienia nie będą pełne.

Realizacja jedności ruchu społecznie postępowego przyczyni się do jego skuteczniejszego działania w kierunku powszechnej przemiany świadomości ideowo-politycznej duchowieństwa i katolików, do pełnego patriotyzmu jako obywateli Polski Ludowej. Fakt zjednoczenia ruchu stanie się czynnikiem zwiększającym jego rolę ideowo-polityczną między innymi także w dziele kształtowania linii dwustronnego Porozumienia Kościoła i Państwa, linii współpracy i współdziałania ludzi wierzących i niewierzących dla dobra narodu i pokojowej polityki międzynarodowej.

W piątą rocznicę podpisania Porozumienia między Episkopatem a Rządem w Polsce trzeba stwierdzić, że zawarta w tym dokumencie treść ideowo-polityczna musi być stale rozwijana i aktualizowana przez ruch katolików społecznie postępowych. Potrzeby Kościoła i kultury katolickiej — potrzeba udziału katolików w dziele ogólnonarodowego budownictwa oraz potrzeba ukazania w skali międzynarodowej perspektyw światopoglądu chrześcijańskiego w państwie socjalistycznym, potwierdzają słuszność linii dwustronnego porozumienia i współdziałania, obecnie jeszcze silniej niż dawniej.

Andrzej Micewski

JACQUES LECLERCQ

Czy BÓG SŁUŻY DO CZEGOKOLWIEK?

CZY tak postawione pytanie nie brzmi skandalicznie? Jeżeli Bóg istnieje, nie potrzebuje usprawiedliwiać Swego istnienia, a my powinniśmy Mu służyć, ponieważ jest Bogiem. Zawdzięczamy Mu wszystko: jest On naszym Stwórcielem i celem naszym jest spełniać Jego wolę.

To prawda. W ten sposób przedstawia się to pytanie s a m o w s o b i e.

Na nieszczęście, przez n a s nie jest ono ujmowane samo w sobie; staje przed ludźmi: w praktyce zagadnienie istnienia Boga jest związane z ludzką psychologią i z życiem człowieka. Zagadnienie istnienia Boga w praktyce? Dziwaczne połączenie słów. Chodzi tu o istnienie Boga o tyle, o ile nas ono interesuje. Jeżeli Bóg istnieje, czy może to nas nie interesować?

To cała historia.

HISTORIA niezrozumiała dla starego katolika.

Przez starego katolika rozumiem katolika dawniejszego, z okresu mej młodości, sprzed wojny 1914 roku.

Jeśli spytano by katolika z owych czasów, do czego służy mu religia, byłby zmieszany tak absurdalnym pytaniem i odpowiedziałby: „Służy ona do zbawienia mej duszy". To było oczywiste. Trzeba zbawić swą duszę. A jak można inaczej ją zbawić, jeśli nie przez służbę Bogu?

Być może, wśród ludzi w moim wieku są jeszcze tacy, którzy nie zastanawiali się nad tym: żyją oni w środowisku katolickim jednorodnym, to znaczy zamkniętym w sobie.

Podobna postawa rodzi twierdzenie, że nie ma ateistów dobrej woli i że „niedowiarki" — ci, którzy utrzymują, że utracili wiarę, są kłamcami szukającymi pretekstów dla usprawiedliwienia swego postępowania. My porzuciliśmy już te pozycje. Przeczytałem ostatnio z dużym opóźnieniem książkę O. H. de Lubas o D r a m a c i e a t e i s t y c z n e g o h u m a n i z m u. Tak, dobre dwa lub trzy stulecia minęły od czasu mej młodości i ci, którzy są przeniknięci duchem tego czasu, to przeżytki wieku bród i peruk.

CZY to, co jest, stanowi postęp? To inne zagadnienie. Człowiek współczesny pyta, do czego służy Bóg, i jeżeli wierzy się w Boga, trzeba to uzasadnić.

Stanowisko to samo w sobie jest absurdalne. Jeżeli Bóg istnieje, to jest bytem transcendentnym, jest Stwórcielem, panuje nad wszystkim; od Niego zależymy, powinniśmy więc czynić Jego wolę. Chrześcijańska koncepcja życia zakłada istnienie Boga. Jezus zwraca się do rzesz wiernych, objawia im Ojcostwo Boże; Bóg nas miłuje i chce nas wprowadzić do swej chwały: życie obecne jest tylko przygotowawczym etapem, życie prawdziwe jest t a m w g ó r z e, a życie tutaj ma za cel doprowadzenie nas tam. Te dwa życia są związane w tym sensie, że życie przyszłe zależy całkowicie od sposobu, w jaki zużytkujemy życie tutaj.

Dochodzi się do innego życia przez czystość serca, przez miłość Boga i bliźniego. Te dwie miłości są nierozłączne, ponieważ swój związek z Bogiem objawia się miłując bliźniego i niemożliwe jest objawiać go inaczej. Kochać bliźniego, to chcieć jego szczęścia, to miłować wszelką sprawiedliwość: „Szukajcie Królestwa Bożego i j e g o s p r a w i e d l i w o ś c i..." Nie ma innej drogi.

Ale my byliśmy niewierni, wielu chrześcijan chciało zbawić swą duszę nie miłując sprawiedliwości, nie kochając swych bliźnich, nie pracując dla Królestwa Bożego na ziemi, mającego być wyobrażeniem tego w górze. Szukali oni innej drogi zbawienia niż ta, którą wskazał Chrystus; tą drogą zbawienia była według nich wyłącznie modlitwa, a spełnianie obowiązków moralnych ograniczali do minimum, zawężając swe życie do jednej dziedziny, obcej miłości wszelkiej sprawiedliwości, obcej trosce o całą ludzkość i niepokojowi o dobro wszystkich. I niepełnie troszcząc się o swych braci sądzili oni, że można pocieszyć nieszczęśliwych obiecując im niebo jako nagrodę za uległe poddanie się swemu losowi.

Jeśli mam taką postawę wobec własnego nieszczęścia, jest ona słuszna. Ale jeśli godzę się z rezygnacją na n i e s z c z ę ś c i e i n n y c h, jestem godzien potępienia. I właśnie równowaga między przyjęciem cierpienia dla siebie i buntem przeciw wszelkiemu złu i wszelkiej niesprawiedliwości w stosunku do innych, przeciw wszystkim konsekwencjom grzechu, konsekwencjom egoizmu i dumy tworzy harmonię życia chrześcijańskiego.

Ci źli chrześcijanie wywołali u niektórych wrażenie, że „religia jest opium dla ludu". Było to na nieszczęście prawdziwe w stosunku do ich religii, ale religia ta nie była religią Chrystusa. Na nieszczęście była ona praktykowana również przez ludzi pobożnych i czystych, którzy chcieliby być wzorowymi chrześcijanami. Stąd dramat.

JEŻELI prawdą jest, że wiara chrześcijańska pociąga bezpośrednio za sobą miłość wszelkiej sprawiedliwości, powinna ona usiłować stworzyć na ziemi obraz Królestwa Niebieskiego w postaci królestwa miłości, w którym każdy poświęca się dla dobra bliźnich. Natychmiast zjawią się konsekwencje tego w życiu indywidualnym i społecznym. Niemożliwością jest dążyć do nieba, nie poświęcając całego swego życia uszczęśliwianiu ludzkości. Ziemskim ideałem chrześcijaństwa jest Królestwo Boże — „jako w niebie, tak i na ziemi" — jeżeli na ziemi będzie realizowana miłość, niebo stanie się jedynie najwyższym rozkwitem królestwa miłości urzeczywistnianej na tym świecie sposobami doczesnymi, którym jesteśmy podporządkowani.

Chrześcijaństwo znajduje się więc na antypodach religii indywidualistycznej, w której zbawia się swą duszę bez zajmowania się innymi. Religia nasza jest społeczna, dąży ona do stworzenia w Kościele społeczności „świętych", którzy pracują nad zbudowaniem Królestwa Bożego, królestwa sprawiedliwości i miłości, królestwa, w którym wszystko jest wspólne dla wszystkich, gdzie każdy dźwiga brzemię wszystkich i przykłada się do wspólnego dzieła zbawienia, którego fundamenty zostały założone przez Mistrza.

Lecz jeśli takie jest chrześcijaństwo, czyż nie powinno dowieść tego swą działalnością, i jeśli nie jest ono na tym świecie obrazem Królestwa Niebieskiego, czyż można być pewnym, że do niego prowadzi?

WEZWANIE Chrystusa i zapał najlepszych chrześcijan dały początek ogromnemu pragnieniu sprawiedliwości, wzajemnej pomocy, miłości ludzkości, ale w tym samym czasie niewierność tak wielkiej ilości chrześcijan stała się źródłem zwątpienia w skuteczność chrześcijaństwa. Zachowując pragnienie sprawiedliwości wielu umysłów odwróciło się od religii, która — jak im się wydawało — nie spełniała swych zadań.

„Pójdźcie do mnie wszyscy, którzy cierpicie", powiedział Mistrz. Lecz kiedy przychodzili oni do Jego wyznawców, zbyt często ograniczano się do mówienia im, że powinni pogodzić się ze swymi cierpieniami...

Mamy upodobanie do wyliczania szlachetnych poczynań, które rozwijały się w łonie Kościoła w ciągu wieków, ratują one nasz honor. Ale czy wyrażają ogólny dynamizm społeczności chrześcijańskiej? A czyż w naszych czasach — kiedy technika uczyniła z ludzkiego dobra, z postępu, z doskonałości, ze szczęścia, zagadnienie przede wszystkim organizacji społecznej — wyszły od społeczności chrześcijańskiej próby i plany reform?

Stąd, u bardzo wielu wrażenie, że miłość chrześcijańska jest kalekliwa, że nie zapewnia ona w dostateczny sposób szczęścia rodzajowi ludzkiemu, że jeśli istnieje Królestwo Niebieskie, chrześcijaństwo na ziemi nie jest jego obrazem i że szczęścia ludzi należy szukać poza nim.

A więc, czy rzeczywiście konieczne jest zajmowanie się Królestwem Niebieskim?

OTO lekarz, sam niewierzący, którego żona chrześcijanka, ma córkę i syna. Dzieci rosną i są wychowywane pobożnie przez matkę, a ojciec niepokoi się spostrzegając w swej żonie i dzieciach obcą mu głębię życia, która odbija się na całej ich egzystencji. Chciałby w tym również być z nimi zjednoczony i przychodzi do mnie. Dyskutujemy czas jakiś o istnieniu Boga, lecz jego zainteresowanie nie ożywia się. „Jestem gotów się nawrócić, mówi mi wreszcie, jeśli mi pan dowiedzie, że wiara w Boga posłuży mi do czegoś. Jestem człowiekiem uczciwym, wykonuję sumiennie swój zawód; kocham żonę, jestem jej wierny i usiłuję uczynić ją szczęśliwą; kocham swe dzieci i wychowuję je tak dobrze, jak mogę. Cóż miałbym więcej będąc katolikiem? Chodziłbym na mszę, do spowiedzi, ale po co, jeśli to wszystko służy jedynie do kontynuowania tego, co ja już robię?

A oto pewna młoda dziewczyna, która niedawno się nawróciła, pyta mnie: „I co teraz powinnam robić?" Odpowiadam jej: „Niech pani wypełnia w sposób doskonały swe obowiązki stanu, niech pani będzie gotowa oddać usługi zawsze, ilekroć będzie pani miała po temu okazję, gotowa pomagać wszystkim, którzy mogą pani potrzebować, rodzinie swej niech pani będzie także oddana"... — „Ależ ja robię to wszystko", mówi mi. Potem, po chwili namysłu: „Tak, widzę: być katolikiem, to znaczy chodzić na mszę i do spowiedzi, a poza tym żyć jak przed tym".

„Utrzymuje pan, że Bóg istnieje i że jest w najwyższym stopniu sprawiedliwy, mówi mi inny. Więcej nawet, mówi mi pan, że kocha mnie On bezgranicznie. Nie jestem o tym przekonany, ale jestem człowiekiem dobrej woli i czynię dobro w tej mierze, w jakiej jestem do tego zdolny. Jeśli naprawdę Bóg istnieje i jeśli jest taki jak pan mówi, niemożliwe jest, żeby mnie karał za to, że żyłem według swego sumienia. A więc, jakie znaczenie może mieć to, że nie wierzę w niego?"

Co odpowiedzieć im i tym wszystkim, których dręczy troska o odrodzenie ludzkości?

LUDZIE ci nie wyobrażają sobie tego odrodzenia jako tajemniczego znamienia, które odciska się w duszy i owoce swoje objawia dopiero w życiu przyszłym, ale jako głęboką przemianę, która pobudza nasze ludzkie zdolności w ten sposób, że zmieniamy warunki życiowe, zapewniając już na tym świecie lepsze życie. Dzięki przemianie tej stajemy się czynnikami lepszego życia d l a i n n y c h, dla ludzkości, — choćby za cenę ofiary z nas samych.

Aby znaleźć odpowiedź, otwieram najbardziej autorytatywne księgi, wielkie traktaty teologii moralnej, na których kształcą się młodzi kapłani, aby zostać apostołami współczesnego świata. Znajduję w nich skrupulatne rozróżnienie między tym, co jest grzechem, a co nie, i kiedy sumuję to wszystko, co chrześcijanin może robić bez grzechu, uzyskuję podobiznę uczciwego człowieka, który spełnia pewną ilość naturalnych obowiązków, żyje tylko dla siebie i spełnia wymagania kultu; nie znajduję jednak żadnej wzmianki dotyczącej troski o powszechną sprawiedliwość. Czy dlatego przyszedł Chrystus? Czyż było konieczne, żeby przychodził tylko po to? I czy potrzebny był cały krwawy dramat Odkupienia?

PRAWDĄ jest, iż Sobór Watykański stwierdził, że istnienia Boga można dowieść na drodze rozumowej. Prawdą jest, że w apologetyce wskazuje się na boskość Chrystusa. Musimy więc przyjąć te prawdy. Lecz czyż nie wymagają one, abyśmy się oddali w dziedzinie czynu dziełu Chrystusa? Czy dzieło Chrystusa oznacza dla nas tylko życie indywidualnie uczciwe, którym zasługujemy sobie na szczęście wieczne?

Jezus powiedział: „Pójdźcie do mnie wszyscy, którzy cierpicie..." Czy tylko, aby ich pocieszyć nadzieją nieba? Czyż na ziemi nie już nie ma? A czemu leczył chorych? Czemu wzruszał się cierpieniami ludu?

Powiedział swym uczniom: „Daję wam nowe przykazanie: Miłujcie się nawzajem, jak ja was umiłowałem." Czyż chodzi po prostu o tę ludzką miłość, którą wychwalali wszyscy mędrcy?

Wyliczamy grzechy, których należy unikać, ale czyż nie jesteśmy w stanie grzechu śmiertelnego, jeśli nie poświęcimy siebie całkowicie?

MAMY więc potępić wszystkich? Wiem dobrze, że większość jest wytłumaczona przez swą nieświadomość. Lecz nieświadomość jest stanem przypadkowym. W i s t o c i e, czy zrozumiałe jest, gdy z jednej strony otrzymuje się życie Boskie, zna się dzieło Boże, słyszy się wezwanie Chrystusa, a z drugiej — żyje się tylko dla siebie albo głównie dla siebie. Czy nie traci się wtedy życia Bożego?

Prawdą jest, że aby być pewnym istnienia Boga wystarczy, iż istnienie Jego zostało dowiedzione rozumowo. Prawdą jest również, że jeśli Bóg istnieje, trzeba czynić Jego wolę — nie należy więc pytać, co się na tym zyska. Jednak sam Jezus, wydaje się, nie gardził argumentem dobroczynności, bowiem jeśli czynił cuda, żeby okazać swą transcendentność, były to cuda dobroczynności. Świat, według Niego, będzie rozpoznawał Jego uczniów po łączącej ich wzajemnej miłości. Nie mówi o dowodzeniu sylogistycznym.

JAN TUROWSKI

APOSTOŁ CHRZEŚCIJAŃSKIEJ UTOPII

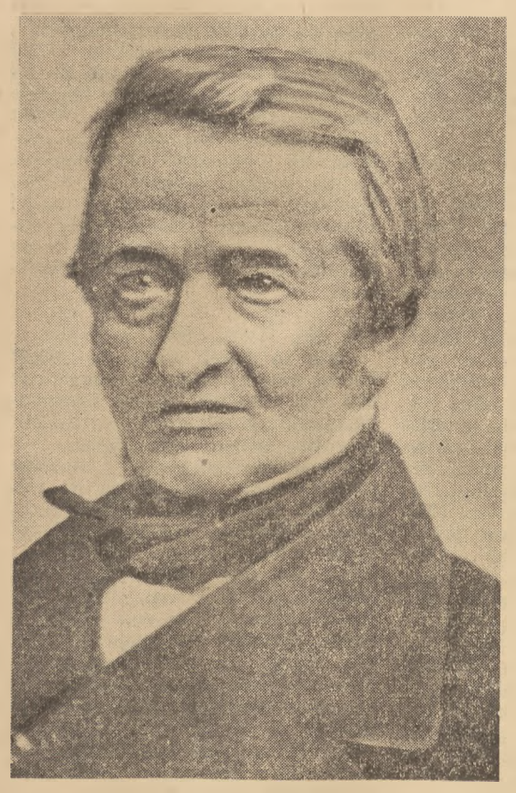

Ludwik Królikowski

POSTANOWIŁEM dotrzeć do rodzinnej miejscowości autora chrześcijańskiej utopii społecznej Ludwik Królikowski zasługuje w pełni na to miano, gdyż całe swoje pracowite i długie życie (1799—1883) poświęcił tworzeniu teorii społecznej, opartej na wynikach analizy stosunku Ewangelii do sprawy społecznej; organizował wraz z wielkim utopistą francuskim Cabetem kolonie komunistyczne w Ameryce, a wokół siebie tworzył rodziny *Braci Zjednoczonych*.

Ludwik Królikowski jest postacią ogólnie znaną w historii politycznej Polski, jako działacz patriotyczny w kraju i na emigracji, jak również w historii polskiej i europejskiej myśli społecznej.

Jakie było znaczenie Królikowskiego i wpływ, który wywierał na współczesne mu życie, niech świadczy fakt, że Słowacki upatrywał pokrewieństwo między poglądami Królikowskiego a ideami głoszonymi przez siebie. Adam Mickiewicz był nie tylko w kontaktach z nim, ulegał jego wpływom, ale w swych wykładach o literaturze słowiańskiej — poświęcił wykład XXIV systemowi religijnemu Królikowskiego (Mickiewicz Dzieła, wyd. nar. tom XI). Karol Libelt w swej *„Filozofii i Krytyce"* omawia twórczość Królikowskiego. Rozprawia o jego poglądach społecznych współczesny mu Bronisław Trentowski, pisze o nim Seweryn Goszczyński i wielu pisarzy emigracji polskiej. Działalność i twórczość Królikowskiego, treść jego poglądów, rola i wpływ — nie przestają zajmować historyków. Królikowski bowiem nie tylko uczestniczył czynnie w życiu politycznym kraju, ale wydawał książki i czasopisma, które w owych latach były jak najbardziej postępowe. Wystarczy wymienić, z czasopism: *Polskę Chrystusową*, *Zbratnienie*, a z większych prac książkowych: *List Apostolski z Warszawy*, *Zbawienie Ojczyzny hasłem naszym...*, *Do panslawistów...*, *Pochwała rodu gęsiego...* oraz wiele innych książek i artykułów, drukowanych od powstańczej *„Gazety Polskiej"*, przez *„Le Populaire"* — organ Cabeta we Francji — aż do amerykańskiego *„Etoile de Kansas et de Jova"*. Dlatego poczynając od historyków emigracji do opracowań historycznych dni dzisiejszych — Królikowski i jego dzieła społeczne — nie przestają być przedmiotem omówień. Zwłaszcza obecnie wraz ze wzrostem badań nad postępową myślą społeczną w Polsce — Królikowski i jego działalność pozostaje częstym przedmiotem naukowego warsztatu.

*

Kierując się wzmiankami biograficznymi o Królikowskim dotarłem do wsi Piotrkowice, niezbyt odległej od Kielc, miasta Żeromskiego i księdza Ściegiennego. Z materiałów archiwalnych wynika, że Królikowski urodził się w 1799 roku. Ojciec Ludwika był chłopem czynszowym, mieszkał we wsi, należącej do wielkiego klucza dóbr hr. Stanisława Tarnowskiego. O wsi tej podaje *„Opisanie historyczno - statystyczne Piotrkowic*, pochodzące z 1820 roku: *„Jedni trzymają grunt na czynsz, drudzy trudnią się zarobkiem, inni rzemiosłem, a najwięcej utrzymują się z zasług y ordynaryi, jako służący JW. Hrabi Tarnowskiego"*. Wieś Piotrkowice leżąca u stóp zamku Tarnowskich, zamieszkała przez ludność rzemieślniczą i przez służbę dworską, w szczególności zawisła była i zależna od łaski pańskiej.

Królikowski wzrastał i wychowywał się w atmosferze ucisku, niedoli, jaka była udziałem sługi pańskiego i chłopa czynszownika. Akta Komisji Województwa Krakowskiego zawierają ogromne foliały zażaleń włościan z lat 1820—30 z powiatu stopnickiego, a wśród nich ze wsi Piotrkowice. Skarżą się chłopi, a między nimi Jan Królikowski na samowolę zastępców wójtów i oficjalistów dworskich, na bezprawne bicie i karanie chłopów, nadużywanie władzy, wyzysk ekonomiczny. Mnożą się coraz liczniejsze protesty, *zgiełki*, manifestacje wrogie w stosunku do magnatów i ich oficjalistów. Klasowy charakter późniejszych poglądów społecznych Królikowskiego sięga w swej genezie do tych pierwszych gorzkich doświadczeń jego młodości.

Dalsza droga życiowa Królikowskiego — to nauka w szkole elementarnej w Piotrkowicach, następnie w Szkole Wydziałowej w Kielcach, gdzie uczył się i wychował pod kierunkiem zakonników ze Zgromadzenia Ks. Komunistów, potem na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego.

W czasie studiów uniwersyteckich Królikowski — zapoznawszy się z teoriami społecznymi, przenikającymi z ówczesnej Francji — owiany jak wielu z ówczesnej młodzieży *duchem patriotycznym* i *duchem niepodległości narodowej*, postanawia życie swe poświęcić sprawie wyzwolenia społecznego i narodowego ludów. Podejmuje długoletnią działalność pisarską i praktyczną.

*

Królikowski jest jednym z pierwszych myślicieli w historii polskiej myśli społecznej, którzy odkryli klasową strukturę społeczeństwa i wskazali na walkę klasy posiadającej i uciskanej, jako zasadniczy proces społeczny. Królikowski dokonuje tej diagnozy społecznej w oparciu o dane historyczne i przeprowadza jednocześnie ocenę dotychczasowego stanu życia społecznego w świetle ogólnych wskazań etycznych, jakie dał Chrystus ludzkości.

Ród ludzki jest podzielony na ciemiężycieli i ciemiężonych — stwierdza. Nie ma na całej ziemi — pisze w czasopiśmie *Zbratnienie* — ani jednego narodu, który by od wieków do dziś dnia nie musiał ulegać w mniejszym lub większym stopniu ciemiężcy lub zdziercy jedno lub wielogłowemu. Każde społeczeństwo w historii dzieli się na klasę ciemiężców, panów i ludu pracującego, cierpiącego w niewoli społecznego wyzysku, poddaństwa i zacofania umysłowego. W całym rodzaju ludzkim, w jego stosunkach społecznych tkwi zaprzeczenie i odstępstwo od nauki Chrystusa. W miejsce sprawiedliwości — wyzysk ludu; w miejsce braterstwa — upodlenie ludu pracującego; w miejsce miłości — walka i nienawiść. Przyczynami zła w dotychczasowych *układach społeczeńskich*, według niego są: *panowanie człowieka nad człowiekiem*, *wyosobienie się człowieka*, i własność *osobnicza*. Królikowski nie zatrzymuje się na stwierdzeniu klasowego charakteru społeczeństwa historycznego i współczesnego mu ustroju społecznego. Wskazuje na klasowy charakter państwa i ludzkiej władzy. Potępia w ostrych słowach panowanie człowieka nad człowiekiem, podkreślając, że pozostaje ono w jaskrawej sprzeczności z zasadą miłości bliźniego i podległością człowieka jedynie Bogu. Stwierdzając konieczność *sterowania*, kierowania życiem społecznym wykazuje jednocześnie, że jest ono ofiarną służbą publiczną z woli ludu i dla ludu, przy czym podstawą powierzenia tej służby poszczególnym jednostkom jest stopień wyrzeczenia się siebie przez jednostki i poświęcenia społeczności.

Królikowski ocenia negatywnie indywidualizm w stosunkach społecznych. Przypomina, że Chrystus cały swój Zakon zamknął w słowach: *Nowe przykazanie daję wam, abyście się społecznie miłowali, jakom ja was umiłował...* Zgodnie z tym nakazem etycznym każda jednostka ludzka winna się wyrzec siebie, swojej rodziny, wszelkich dóbr dla społeczeństwa. Atakuje jeszcze Królikowski trzecie źródło zła w stosunkach społecznych, nierozerwalnie związane z poprzednimi: zasadę prywatnej własności. *Nic tak nie rozdziela ludzi i nie rozrywa* — pisze on — *jak własność osobnicza*.

*

Przeciwstawiając zasadom i stanowi dotychczasowego życia społecznego konsekwencje płynące z nakazów etycznych Ewangelii — Królikowski wskazuje jednocześnie na konieczność zburzenia starego świata i wzniesienia *układu społecznego*, który byłby z nimi zgodny. Podkreśla, że ludzkość szuka ratunku w różnych systemach społecznych. Mając przy tym na myśli socjalistyczne teorie utopijne Saint-Simona, Cabeta, Fourier'a — dodaje, że wnoszą one nie wiele nowego w stosunku do zasad społecznego życia, jakie wynikają ze słów Chrystusa. Autentyczną interpretację społeczną Ewangelii — utrzymuje Królikowski — dało pierwotne chrześcijaństwo, później zaś jej treść społeczna została zniekształcona na użytek klas posiadających w ustroju feudalnym i kapitalistycznym. Nadchodzi jednak epoka, w której sięgnąć należy do trwałej i wiecznej myśli religijnej, aby zaczerpnąć wskazania dla ułożenia stosunków międzyludzkich.

Chrystus bowiem w Ewangelii zobowiązuje swych wiernych do oparcia stosunków społecznych miłości braterskiej w kierunku powszechnego zjednoczenia rodzaju ludzkiego. *Im zaś doskonalsza jest Miłość braterska* — pisze — *tym jest więcej nieubłagana i sroga dla zbójców i ciemiężców Braci. Kto zaś Kainom pobłaża, albo ich ciepi, ten staje się uczestnikiem i wspólnikiem w ich bratobójstwie*. Dlatego nie waha się Królikowski użyć gromkich słów pisząc: *przeklęty kto się przyczynia lub mocnym nie śmie się sprzeciwić, a błogosławiony kto przez wytępienie i zniszczenie wszelkiego gwałtu, ucisku, niesprawiedliwości i przywilejów, zaprowadza i utwierdza Pokój Boży i swobodę świętą w dziedzictwie Dziatek Bożych...*

Łącząc sprawy wyzwolenia narodowego Polski ze sprawami wyzwolenia społecznego ludu — Królikowski nie jest konsekwentny w systemie wskazywanych przez siebie środków prowadzących do tego celu. Raz uważa za konieczne walkę orężną, polityczną, innym razem — utopijne, pozbawione realizmu sposoby tworzenia związków Braci Zjednoczonych, jako zalążka Królestwa Bożego na ziemi, które mocą przykładów powszechnie i entuzjastycznie przez ludzi zostaną przyjęte.

Syn chłopa czynszowniczego z Piotrkowic jest natomiast wielkim realistą, gdy dokonuje diagnozy panującego ustroju społecznego. Ale tenże chłopski tułacz emigracyjny, słuchacz teorii Saint-Simona, Cabeta, wielki romantyk a przy tym religijny mistyk, nie znający prawidłowości rozwoju społecznego — jest zarazem utopistą, gdy stara się nakreślić wizję przyszłego ustroju społecznego i wskazać drogi do niego prowadzące Zajęty sprawą chłopskiej Polski nie widział już we Francji, w której tyle lat spędził, wyrastającej nowej klasy społecznej. Pogrążony w studiach ewangelicznych i w komentowaniu, bardzo często fałszywym, tekstów Ewangelii, nie interesował się prowadzonymi studiami i naukowymi badaniami życia społecznego ludzi. Wzorem swego mistrza, który umysł Królikowskiego opanował, wielkiego utopisty Cabeta, Saint-Simona i wzorem innych reformistów tworzył wizję utopijnego społeczeństwa, wskazując sposoby natychmiastowego i powszechnego wprowadzenia Królestwa Bożego na ziemi. Królikowski wierzył we wszechpotężną skuteczność słowa. Nierealność jego poglądów o przyszłym społeczeństwie polega na tym, iż mniemał, że samą propagandą, prowadzoną przez nielicznych „apostołów", uda się wprowadzić doskonały we wszystkich dziedzinach życia ustrój społeczny. Nie liczył się z koniecznością walki zarówno ekonomicznej, jak i politycznej, która zmierzałaby do obalenia panującego ustroju społecznego, walki — prowadzonej w formie masowego ruchu społecznego. Nie zdawał sobie sprawy, iż przyszły ustrój społeczny uwarunkowany jest dotychczasowym rozwojem i stanem życia społecznego, że zniesienie klas, prywatnej własności i państwa możliwe jest we właściwym historycznie etapie rozwoju technicznego, ekonomicznego i ideologicznego społeczeństw i może się dokonać przez walkę rewolucyjną, i że są to procesy długotrwałe.

Sprawa stworzenia doskonałego ustroju społecznego jest dla Królikowskiego bardzo prosta. Wystarczy, aby powstało kilka ogniw Braci Zjednoczonych, zespolonych miłością braterską, aby z nich mogło się rozwinąć oczekiwane Królestwo Boże na ziemi. Takie Zjednoczenie będzie się dokonywać z chwilą odkrycia autentycznej treści społecznej Ewangelii i ukazania jej, oraz apostołowania wśród ludzi.

Królikowski daje jednak praktyczną, jak nazywa, *wskazówkę do łatwego powszechnego zjednoczenia*. Formułuje główne zasady, na których ma być oparty przyszły ustrój społeczny i wskazuje na jego formy organizacyjne. Zakładając wspólną własność, wyeliminowanie państwa, miłość braterską, jedność wiary i działania — szkicuje swego rodzaju system dziesiętny społecznej organizacji. Tak więc każdy Brat przejęty i porwany nauką Ewangelii, miłością braterską łączy się z dziewięcioma innymi braćmi tworząc *rodzinę*. W ten sam sposób dziesięć połączonych rodzin tworzy *Orszak*, dziesięć orszaków *Gromadę*. Następnymi jednostkami organizacyjnymi są: *Gmina*, *Zastęp*, *Zbór*, a wreszcie *Naród*, *Szczep* i *Wszechwładztwo*. Nie wchodząc w szczegóły utopijnej struktury organizacji społecznej rodzaju ludzkiego, trzeba podkreślić, że twórca obrazu doskonałego społeczeństwa pozostaje pod urokiem pierwszych wieków chrześcijaństwa Potępiając panowanie człowieka nad człowiekiem i rządy narzucone z góry, zdaje sobie sprawę, że idealne społeczeństwo nie może być anarchistyczne, musi mieć swych sterników. Wykonywanie jednak funkcji rządzenia nie może mieć nic wspólnego z istnieniem państwa, ma być sprawowane przez sam lud za pośrednictwem *sług publicznych*, wybieranych przez lud Wola ludu decyduje o wszystkich *społeczeńskich* sprawach, gdyż lud *jest prorokiem Boga*. Konstruuje Królikowski i określa rodzaje sług publicznych i ich funkcje: *Mirów*, *Miłów*, *Sławów*, *Władców*, itp.; szkicuje ustrój i rolę rad ludowych, jako stałych organów władzy ludu w poszczególnych komórkach całego *Zjednoczenia ludzkiego*.

*

Już w okresie studiów uniwersyteckich Królikowski, przejęty dążnościami do wyzwolenia społecznego i narodowego, urzeczony historią życia pierwszych chrześcijan, utrwaliwszy się w zbawienności wskazań etyczno-społecznych Ewangelii postanawia, wzorem pierwszych apostołów, stać się głosicielem Słowa Bożego. Wzorem jednak wszystkich utopijnych reformatorów Królikowski nie wiąże się z realnymi siłami społecznymi swej epoki i swego kraju, z historycznymi ruchami społecznymi, a co więcej — odstępuje od Kościoła katolickiego i w oderwaniu od realnej walki o nowe, toczącej się w różnych łożyskach współczesnej mu epoki — postanawia realizować *społeczność doskonałą*.

Niemniej jednak poglądy społeczne Królikowskiego nie tracą przez to cech postępowości. Pracuje on bowiem najintensywniej w okresie działalności *Ludu Polskiego* na emigracji, z którym łączy go wiele nici, a w szczególności ściślej współpracuje z Zenonem Świętosławskim.

Formułuje i upowszechnia swe myśli o społeczeństwie w latach 1840 i 1850-tych, w czasie, gdy na ziemiach polskich nie rozwinął się jeszcze kapitalizm, a z nim ruch robotniczy i teoria socjalizmu naukowego. W dziedzinie rozwoju myśli polskiej i postępowych ruchów odegrał rolę twórczą przez nieubłaganą i wszechstronną krytykę panujących stosunków i wykazanie wstecznej roli instytucji feudalnych i kapitalistycznych.

Królikowski przez całe życie jest wierny swym ideałom Na uniwersytecie wiąże się już z przyjaciółmi w grono apostolskie w celu głoszenia i organizowania nowego *układu towarzyskiego*. Jest misjonarzem lepszej przyszłości w czasie powstania listopadowego. Nie sprzeniewierzy się, chociaż pozostał sam — swemu zadaniu życiowemu, jako kierownik Zakładu Wychowawczego w Krakowie. Usunięty z kraju, we Francji głosi swą wizję Polski Chrystusowej wśród emigrantów polskich Wydaje książki, czasopisma, przemawia, pisze artykuły Apostołuje wizją doskonałego *„Zbratnienia"* między ludźmi w listach do ówczesnych działaczy politycznych, pisarzy, znajomych Wysyła listy apostolskie do Mickiewicza, adresuje *Westchnienie Pobożne*. do Adama Czartoryskiego, aby go zawrócić ze złej drogi, jaką obrał; pisze listy do Goszczyńskiego, Trentowskiego, Smolikowskiego i innych. Różnymi drogami chce zyskać zwolenników dla swej idei. Wiąże się z Cabetem, pracuje z nim razem, redaguje *Le Populaire*, gdy mistrz jego w Ameryce organizuje kolonie komunistyczne. Pomaga w ich tworzeniu i organizacji, próbuje wokół siebie tworzyć *Rodziny Braci Zjednoczonych*. Wszystkie te wysiłki nie doprowadzają do wymarzonego celu. Królikowski jednak nie ustaje. Zawiódłszy się na Europie przenosi się do Ameryki. W nieustannym trudzie i z wiarą w rychłe nadejście doskonałego ustroju społecznego pracuje niestrudzenie w latach od 1840 do 1880 roku. Jest ciągle czynny. Pod koniec życia sterany wiekiem kontynuuje swą działalność apostolską i nie traci wiary w słuszność swej drogi, stara się tylko, widząc, że dzieło jego jest ciągle odległe — poszukać swego następcy, który by po nim przejął tę misję.

Jan Turowski

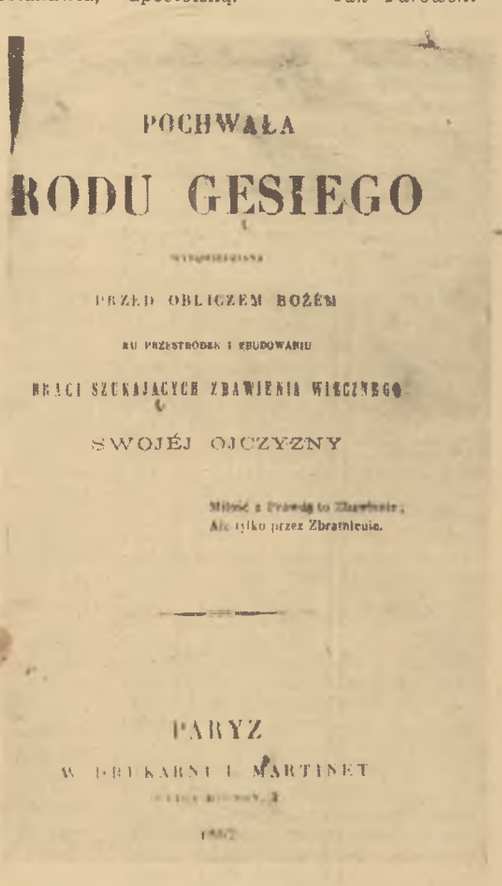

POCHWAŁA

RODU GĘSIEGO

PRZED OBLICZEM BOŻEM

KU PRZESTRODZE I ZBUDOWANIU

BRACI SZUKAJĄCYCH ZBAWIENIA WIECZNEGO

SWOJEJ OJCZYZNY

Miłość z Prawdą to Zbawienie;
Ale tylko przez Zbratnienie.

PARYŻ

W DRUKARNI L. MARTINET

Mistrz objawia się poprzez swój Kościół; Kościół to są wyznawcy. Świat pozna Chrystusa w Jego wyznawcach, jeśli będą oni miłowali świat tak, jak Chrystus go umiłował — miłością całkowitą, aż do oddania życia. Jakże ograniczać tę miłość do szukania zbawienia wyłącznie własnej duszy?

Jezus wie dobrze, że człowieka nie przekonują wyłącznie argumenty rozumowe — trzeba mu dostarczyć argumentów potwierdzonych praktyką życia.

JAKI stąd wniosek można wysnuć?

Przede wszystkim, że argument użyteczności jest słuszny. Jeśli bowiem istnienie Boga samo w sobie jest niezależne od usług, jakie nam wyświadcza, to jednak — jeżeli Bóg jest taki, jak przypuszczamy, że jest — najzupełniej oczywiste jest i to, że porządek, do którego On nas wzywa nie sprowadza na ziemię ostatecznej doskonałości. Człowiek jest biednym stworzeniem z ciała i krwi, opanowanym przez potrzeby uczuciowe: Bóg wie o tym dobrze — On sam nas stworzył. Nie jesteśmy maszynami do myślenia: aby ujrzeć prawdę, musimy być do tego przygotowani.

Prawda nadaje kształt wszystkiemu. Czy prawda, która usiłuje być całkowitą, ponieważ panuje nad wszystkim, a nie przejawia się w harmonijnym porządku, w którym każdy znajduje swe pełne urzeczywistnienie, czyż taka prawda może być prawdą całkowitą, kluczem, który otwiera wszystko; czy może rządzić wszechświatem? My utrzymujemy, że Bóg jest tą zasadą, która wyjaśnia wszystko. Czy dzieła Jego nie świadczą o Jego istnieniu? Kiedy psalmista mówi: „Niech niebiosa i ziemia głoszą chwałę Boga", czy nie wskazuje on drogi, na której umysł ludzki dochodzi do Boga?

I jeśli Bóg umieścił na ziemi istotę zwaną człowiekiem z jej inteligencją skąpaną w uczuciowości, ze wszystkimi jej potrzebami i pragnieniami duchowymi i fizycznymi, pomieszanymi do tego stopnia, że najsubtelniejsi analitycy nie doszli do odróżnienia nici przewodniej — to czy nie dlatego, że chce spełnić te pragnienia i że Jego chwała jaśnieje również w człowieku, w ludzkim przeznaczeniu i w rozkwicie człowieka, że jaśnieje ona bardziej jeszcze w człowieku, niż na firmamencie i w przyrodzie?

NASZA tradycyjna nauka o moralności, jak również wiele elementów życia Kościoła natchnione są miłością w najwyższym stopniu poruszającą, jeśli dobrze się ją rozumie.

Pan powiedział: „Lnu kurzącego się nie zgasi". Czerpiąc natchnienie z tych słów teologowie usiłowali sprecyzować minimalne warunki łaski, aby nie wykluczać z jej królestwa nikogo z tych, którzy mogliby mieć do niego dostęp.

Zagadnienie jednak przedstawiało się inaczej, ponieważ nie chodziło o tych, którzy mogą wejść do królestwa łaski, ale o tych, którzy w nim są, i o to, żeby wiedzieć, czego trzeba od nich wymagać, żeby ich w tym królestwie zachować. Albo — mówiąc zwykłym językiem naszego wychowania religijnego — skoro chrzest daje łaskę, która pozwala wejść do nieba, chodzi o określenie — na użytek ochrzczonych — minimalnych warunków, które pozwolą im bądź zachować tę łaskę, bądź ją odzyskać.

Teologia ta więc spełnia swą funkcję w środowisku katolickim szczelnie zamkniętym, to znaczy wśród katolików, dla których nie istnieje zagadnienie wiary, ale którym często brak szlachetności moralnej. Chodzi o zachowanie dla nich dobrodziejstwa życia sakramentalnego, źródła łaski, przy możliwie najmniejszej ilości ofiar z ich strony.

Jasne jest, że teologowie nie mają w tym żadnego osobistego interesu, że przeciwnie — mieliby interes w tym, aby okazać się bardziej rygorystycznymi, gdyby chcieli uprawiać politykę prestiżu. Tylko miłość bliźniego tłumaczy ich postawę, lecz jest to — jeśli można tak powiedzieć — miłość o zamkniętym cyklu.

Stwierdzenie, że katolicy mający wiarę, bez wątpienia jest pleonazmem — bowiem nie można być katolikiem bez wiary. Lecz tu również, w tej samej trosce płynącej z miłości, teologowie starali się zredukować do minimum wymagania w stosunku do wiernych, określili na przykład ograniczony zakres wiadomości religijnych, jakich trzeba wymagać od umierającego, aby móc udzielić mu sakramentów, które otworzą mu niebo... Skąd, jeśli nie z miłości Chrystusa przenikającej Kościół, wypływa ta namiętność otwierania nieba umierającym, którzy żyli źle?

Kształtowanie kapłanów jest pojmowane w tym samym sensie. Przyszłego kapłana przygotowuje się nie do zdobywania świata niewierzących, nie do działalności misjonarskiej, lecz do administrowania społecznością wiernych, i w tej społeczności najwięcej uwagi poświęca się tym, których wiara jest słabsza. Kapłan powinien więc wiedzieć możliwie najdokładniej, czego może wymagać, bowiem wymagając za wiele odepchnie dusze, które mogłyby otrzymać łaskę.

Lecz w tej trosce idealnie czystej, aby „nie zgasić lnu kurzącego się", nie spostrzega się, że inne dusze zostają zadeptane...

Prawdą jest, że w nauczaniu Kościoła są również inne stanowiska, że nieustające jest wzywanie do doskonałości, ale tak, jak przedstawia się ono we współczesnym Kościele, wydaje się raczej stanowiskiem drugorzędnym i przypadkowym, ma dowolny charakter moralności proponowanej tym, którzy są usposobieni do jej przyjęcia.

W katolickim nauczaniu wykłady religii opierają się, w części poświęconej moralności, na takiej teologii moralnej, jaką tu opisałem; wzywanie do doskonałości wyraża się w kazaniach lub na zebraniach kongregacji, bractw przeznaczonych dla gorliwych katolików, a nie przejawia się jako punkt wyjścia powołania chrześcijańskiego.

Skutkiem tego niechrześcijanie mający wielkie pragnienie ideału, głód absolutu i oddania, mogą odnosić wrażenie, że w Kościele katolickim nie znajdą zaspokojenia swych pragnień. Uważają oni za mało interesujące poświęcanie życia na szukanie własnego zbawienia. Nie wiedząc o tym, że są oni echem świętego Pawła, który pisał: „Jestem gotów się zgubić dla zbawienia mych braci", lecz nie wydaje się im, aby życie chrześcijańskie — takie, jak jest ono zorganizowane w dzisiejszym Kościele katolickim — miało podobne nastawienie. I oto dochodzi do takiego paradoksu, że dusze dobrej woli odsuwają się od Kościoła właśnie z powodu swej szlachetności.

I nawet ci, którzy urodzili się chrześcijanami...

CZY nasze czasy nie wymagają, abyśmy przekształcili nauczanie moralności?

Dobrze mówię: nauczanie. Sama moralność nie może się zmienić. Lecz czy nie powinnibyśmy nauczać moralności tak jak Chrystus i apostołowie?

Czy nauczanie moralności chrześcijańskiej nie powinno się zaczynać od perspektyw, jakie powołanie chrześcijańskie otwiera dla ducha; od miejsca, jakie wyznawca Chrystusa powinien zająć w świecie; od postawy, jaką powinien on przyjąć wobec wartości duchowych i doczesnych, wobec zagadnienia kierunku życia?

I czy można poszczególne czyny sądzić inaczej, niż w świetle tego kierunku życia, skoro nie chodzi o naturalną moralność, ale o moralność chrześcijańską?

Czy można zaryzykować taką zawstydzającą uwagę, że moralność chrześcijańska, moralność właściwa chrześcijanom, która stanowi ich dziedzictwo, która poza chrześcijaństwem jest nie do pojęcia — nie jest nigdzie nauczana w oficjalnym programie naszych zakładów wychowawczych? Nauczanie moralności obejmuje filozofię moralną, która opiera się na problemach abstrakcyjnych, naturę dobra, obowiązku, badania sumienia; wreszcie teologię moralną, która usiłuje określić granice grzechu Do tego dochodzi, na drugim planie, studium nad uduchowieniem, czyli warunkami doskonałości, ujętymi w sensie prawie ściśle wewnętrznym i indywidualnym. O stowarzyszeniach chrześcijańskich mających na celu dzieło Chrystusowe naucza się jedynie w sposób przypadkowy w pewnych grupach i w niektórych książkach, albo w pewnych przeglądach zarezerwowanych w istocie dla nielicznych. Oficjalny program seminariów, który podręczniki religii dla szkół średnich transponuje na odpowiednio niższy poziom, nie zajmuje się tym. Przyjmuje się bez wątpienia, że są to sprawy znane. Ale w jaki sposób można by je poznać, skoro nie uczono ich w seminarium. Niektóre dusze wybrane dojdą do nich własnym wysiłkiem dzięki oświeceniu przez łaskę, lecz czy to wystarczy, aby wzbudzić w całym Kościele ruch, który powinien go ożywiać?

Wiem, że o tym, o czym tutaj mówię, myśli się coraz częściej. Czy nie należałoby więc zrewidować całego nauczania moralności?

Artykuł ukazał się w jednym z powojennych numerów „La Vie Intellectuelle"

STANISŁAW K. STOPCZYK

rys. ZOFIA TRZEBIŃSKA

ERNEST MAYER WYGRYWA OSTATNIĄ STAWKĘ

W SIERPNIU 39 Ernesta Mayera ubrano w mundur sił zbrojnych. Wyjechał. Już dawno przeklął to wszystko, ale żal mu było tego wszystkiego, gorzkich, bliźniaczych dni, względnej pewności jutra, nieustannego przegrywania, z którym gotów był się już nawet pogodzić, i Elzy było mu żal.

FRITZ Friemann... Fritz Friemann... „...chcę ci powiedzieć, drogi Ernst, że już nie mam do Ciebie o nic żalu, co miałam w sercu przed wojną... że nic ci się w życiu nie udawało i że jak mnie Fritz Friemann wtedy obraził...“

Nazwisko to wydobyło się na powierzchnię majaczeń i odrętwienie Ernesta Mayera minęło. Nie mógł rozprostować zdrętwiałych nóg i to go zapewne obudziło. — „Dlaczego pisze o Friemannie? Dlaczego o nim tylko?...“ — Mayerowi zrobiło się nagle bardzo gorąco. Zaraz jednak przyszło mu na myśl, że trzeba koniecznie stąd wyłazić, ale już, zaraz, że nie może tu siedzieć ani chwili dłużej, że łamie jakieś surowe przepisy. No, *ein zwei drei*. Jeśli przyjdzie wachtowy, to Ernest Mayer bardzo prędko pójdzie do piachu. I nikt nie będzie się tym martwił, że Ernest Mayer leży w piachu. Otto? Otto zna życie doskonale, nie takie rzeczy oglądał. Ernest Mayer wierzy Ottonowi.

— „Ty się boisz umierać, Friedrich? — Ja życie znam doskonale, ho, ho, niejeden ginął w moich oczach, ot, taki Ernest Mayer. On się nie bał umierać na wojnie, to i ty zamknij mordę, Friedrich, cichutko...“.

Ale Ernest Mayer nie chce umierać na wojnie. Ernest Mayer panicznie boi się śmierci. Zresztą — coś się w nim zacięło. Uparł się. Ernest Mayer chce wrócić do Essen, ma tam jeszcze pewne sprawy do załatwienia. Musi koniecznie zbić Fritza Friemanna, który mu zabrał Elzę, i zobaczyć, jak Elzie serce pęka, chce... ach, dużo ma spraw w tym Essen Ernest Mayer. Więc trzeba się na gwałt stąd zabierać i wracać na wacht.

Mayera piekły oczy i niezupełnie był przytomny. Namacał karabin, ale zostawił go jeszcze na chwilę. „Najpierw wciągniemy skafander“. Pracował w ciemności. Mozolił się chwilę, nim uporał się z bezkształtną materią, wreszcie naciągnął ją na głowę i oślepł zupełnie, bo otwór wypadł mu z tyłu. Zniechęcony upuścił skafander. Postawił kołnierz płaszcza i oparł na nim głowę. Spoglądał przed siebie na wysrebrzoną ścianę budy i znów powoli chwyciła go drętwota. — Wykołowała mnie, wykołowała, na dobre mnie wykołowała — myślał sennie, ale jasno. — A to mnie wykołowała! — zdziwił się. — ...Ja wiem doskonale, jak to jest... Wszyscy mnie wykołowali. — Opuścił podbródek na piersi.

...Drogi Ernst, ty nie wracaj już do Essen...

Gwałtowny łomot przebudził Ernesta Mayera.

— Przegrałem — pomyślał — wachta.

Jedyną rozsądną rzeczą było teraz na przykład palnąć sobie zawczasu w łeb, wymierzyć sobie dobrowolnie karę, którą sąd polowy przewidywał dla dezerterów w rodzaju Ernesta Mayera, umrzeć samodzielnie, pozostawiając po sobie resztkę ocalonego honoru. Ale myśl taka z daleka ominęła Mayera. Przycupnął na ziemi. Wnet jednak zmienił przekonanie: z całą pewnością ktoś był na dachu, nad jego głową. Ernest Mayer powstrzymał oddech. Ten u góry ucichł również, zdając się wyczekiwać... Po niedługiej chwili udręki Ernest Mayer usłyszał jakieś szmery i chroboty, ale już nie na dachu, lecz gdzieś w pobliżu jego wagonu, na peronie. Wśród tych odgłosów, cichych, lecz słyszalnych wyraźnie pośród zupełnego milczenia nocy rozlegały się skłócone dźwięki łańcucha, takiego, jakim spina się wagony. Ernest Mayer chwycił karabin i wyszedł na peron. Skrył się zaraz w cieniu załadowanej węglem platformy i począł nadsłuchiwać. Podzwaniania i stuki ucichły nagle, i znowu było milczenie. Ernest Mayer wylazł z ukrycia i poszedł peronem, schylony, tuląc się do wagonów. Raptem znalazł się w snopie światła, idącego od księżyca, więc cofnął się w mrok i między wagonami przedostał się na drugą stronę. Spojrzał w głąb torów, nic jednak nie zobaczył; za pociągiem było ciemno, ale gdzieś z oddali usłyszał głuche stuki spadającego węgla. Pobiegł w tamtym kierunku, starając się zachować najgłębszą ciszę. Nie powiodło mu się — słychać go było naokoło bardzo wyraźnie; nic, tylko jego własne kroki. To było bardzo nieprzyjemne i Ernest Mayer przystawał co chwila, żeby oszukać i ośmielić wroga, a potem biegł dalej ostrożnie, na palcach, o ile w grubych żołnierskich butach było to możliwe. Ostre powietrze wdzierało mu się do gardła i dusiło. Serce biło głucho. Zdawało się, że rozsadza piersi. Chwycił go kaszel, więc wpakował rękaw do gardła i wytrzymał, chociaż mu oczy na wierzch wyłaziły. Dobiegł wreszcie tam, gdzie spadał ten węgiel, ale tam już nikogo nie było. Zatrzymał się. On był gdzieś w pobliżu, z całą pewnością. Może przywarł do węgla i leży tam u góry czarny, zły, nad jego, Mayera, głową. Ernest Mayer był wyczerpany i zrozpaczony. Blaszana latarnia na dalekim słupie chybotała się z wiatrem i długi cień księżyca tańcował wokół Mayera. To wszystko było bardzo niewyraźne. Bo to nie mogło być przecież złudzenie i choć znów była cisza, przecież Mayer słyszał ją dlatego, że przedtem słyszał te stuki i łomoty... Zaczął coś mruczeć pod nosem, żeby zakłócić tę dudniącą ciszę. I nagle krzyknął — był to ostry, krótki krzyk — coś spadło mu na głowę, czarny, skrzepły ciężar urwany z kłębu nocy. Stracił oddech i złapały go mdłości. — Ej, Mayer, całe piekło sprzysięgło się przeciw tobie! — Był to jednak tylko kawał węgla, niewielki, ale ciężki i niespodziany. Lecz wtedy właśnie, gdy mimowolnie spojrzał do góry, skąd spadło uderzenie, zobaczył — śmigły, wątły cień biegł po wagonach ku końcowi pociągu. Był to śmiały lub bardzo zgoniony cień, bo biegł bez żadnej osłony, bez żadnych środków ostrożności, a tu na dole był przecież Ernest Mayer z karabinem. Mayer zawołał i cień pomknął chyżej. Wtedy Ernest Mayer rzucił się do przodu i zaczął biec wzdłuż pociągu, niemal równolegle z uciekającym. Przecież pozostał w tyle, ciężki uniform więził mu ruchy. Jednak biegł jako tako, wołał urywanym głosem, potykał się, klął niemal, ale biegł. Dopadł wreszcie ostatniego wagonu: to była pułapka — jeśli ktokolwiek był na górze, musiał w nią niechybnie wpaść. Ale na górze nie było nikogo. Na dole był tylko Ernest Mayer z karabinem.

Opuściły go siły — oparł się ramieniem o pociąg i dyszał. Zamknął oczy. Kręciło mu się w głowie i poczuł, że wagon posuwa się powoli, wymyka mu się spod ramienia. Uskoczył: wszystko stało jak przedtem.

I wtedy posłyszał właśnie daleki, nierówny odgłos kroków. Spojrzał tam, skąd ten głos dochodził i zobaczył: drobny kształt ludzki oddalał się prędkimi susami, biegł w poprzek torów, po otwartej przestrzeni, poprzez szyny. Wyglądał jak zagoniony zając idący w jednym, zawsze najgłupszym kierunku. Wtedy Ernest Mayer przyłożył karabin do ramienia i strzelił.

Kształt znikł.

— Chybiłem — pomyślał i zrobiło mu się nijako. Ale poszedł w tamtym kierunku i zatrzymał się dopiero u tego czarnego kształtu, rozciągniętego na ziemi, z twarzą przytuloną do jasnej szyny. Obok leżał wywrócony koszyk, z którego posypał się węgiel. Ernest Mayer schylił się, podniósł koszyk, a potem wziął zabitego za rękę, pragnął zajrzeć mu w twarz: była to twarz bardzo umorusana, chłopięca. Ernest Mayer puścił rękę, a chłopiec jakby skrzydłem, przykrył nią policzek.

NO, czy przyzwoity wehrmachtowiec pije wódkę? Nie! — Otto huknął pięścią w stół: — Nie pije! Nigdy nie widziałem, żeby wehrmachtowiec pił wódkę, do stu tysięcy!

Otto nie był pijany, ale już mocno podniecony.

— A jak Eisenkreuz żołnierz dostanie, to może żołnierz pić wódkę? Nie może, do stu tysięcy. Ja... — grzmotnął się w piersi. — Ja piętnaście razy dostałem żelazny krzyż, a raz od samego Führera pod Stalin... Stalingradem! Ani razu nie piłem. Ale — tego — jak mojego przyjaciela przeczytają w rozkazie dziennym, to może Otto Jung napić się wódki? Może, do stu tysięcy, wiem doskonale!

Siedzieli w małym kieleckim szynczku, w osobnym, bardzo brudnym pokoiku; Otto wparł się plecami w róg pokoju, wyciągnął przed siebie nogi i zwiesił ręce po obu stronach oparcia. Ernest Mayer siedział naprzeciw niego lekko pochylony na krześle. Głos Ottona dochodził doń z daleka, ale Ernest Mayer widział dokładnie jego twarz o okrągłych, wyskakujących z orbit oczach i jego usta otwierające się do mówienia przesadnie szeroko, jak zwykle, gdy wiązanie zgłosek nastręcza trudności.

— Czy żołnierz Wehrmachtu smuci się, jak krzyż dostanie? Nie, taki żołnierz zaraz powinien iść pod mur. Tak jest.

Otto nagle ucichł. Pochylił się gwałtownie i wparł piersią w stół. Patrzył ostro w twarz Ernesta Mayera i mrugał oczami. Mayer spuścił głowę. W spojrzeniu Ottona było coś obrzydliwego i Ernest, któremu cisnęły się na usta jakieś niewiadome słowa, płynące z samej nieodpartej potrzeby mówienia — pogrążył się na powrót w tępe milczenie. Mogły to być ważne słowa, ale Otttona nie interesowało wcale, co sobie myśli Ernest Mayer. Odczuwał radość przewagi, to drętwe widmo było najpewniej jego chciwym słuchaczem. Usta Ottona poruszały się znowu. Ernest Mayer patrzył we własne schlapane buty,

DOKOŃCZENIE Z NUMERU POPRZEDNIEGO

patrzył, zdawało się, z jakimś określonym, upartym celem. Nie miał nic do powiedzenia. Nie myślał już o niczym.

— Ty wiesz, coś ty zrobił? W rozkazie cię wyczytali. Sam major Loewcke - Eisenherz podpisał. Będzie teraz pamiętał, myślisz, że nie wiem? To ten Ernst Mayer, co z bandytami *en zwei drei*. To fest żołnierz ten Mayer — powie Führerowi, jak się spotkają. Ja... ja się bardzo cieszę, że taki żołnierz jest moim przyjacielem i pije ze mną wódkę u mamy Rogalyk. *Heil*, Ernst ty... bandyto. Ha ha!

Ernest Mayer podniósł gwałtownie głowę. Rechot Ottona ustał.

— Coś ty powiedział? — spytał.

Otto Jung ściągnął mięśnie twarzy: — Co ja powiedziałem? — pomyślał. — Czy ja głupio powiedziałem? — nie mógł jednak przypomnieć sobie ostatniego zdania. Na wszelki wypadek spróbował to powetować:

— Ty się gniewasz, Ernst? Bo tak dziwnie mówisz, ja nic nie rozumiem. Co ci jest?

Ernest Mayer poruszał szczękami, jak gdyby żuł. Nie patrzyli na siebie: Otto Jung dziwił się, a to zdziwienie silniejsze było nawet niż zazdrość. — Ernest Mayer mierzył zaś głębię największej ze swoich klęsk. Potem powiedział niespodziewanie cicho i płaczliwie:

— No, czy można dać się tak kołować?

Ottonowi kręciło się w głowie. Spoglądał na Mayera jak na egzotyczne zwierzę, dziwne na pewno, a przy tym niezupełnie bezpieczne.

— Co ty do mnie mówisz? Ja cię nie rozumiem...

Wtedy Ernest Mayer zerwał się nagle z krzesła i prawie położył na stole przysuwając twarz do spotniałej twarzy Junga. Flaszka z wódką spadła na podłogę.

— ...Ja ci opowiem, jak to było.

— Daj pokój — poradził Otto. — Siadaj, napij się. A jak nie, to pójdziemy na powietrze.

— Nie. Musisz posłuchać! Ja tobie jednemu wierzę. Czy ty myślisz, że ja jestem pijany? — Ernest Mayer podniósł się, stanął przy Jungu i zapytał go z bliska: — Powiedz, czy ja jestem pijany? Jezus Maria, ja jestem zupełnie trzeźwy. Ja ci chcę tylko powiedzieć, jak to wszystko było, słuchaj Otto: Stałem na warcie na kolei, jak człowiek. Już całą godzinę stałem. Była taka jasna noc, jak wtedy, kiedyśmy wchodzili do Poznania, zupełnie jasna. No i te wagony z węglem, wiesz, jak my tych wagonów pilnujemy, żeby kto węgla nie zapalił, czy jak. Ja stałem od drugiej, wypadało mi do czwartej. Ciemno było, więc wlazłem do tej budy. I nagle — całe piekło na moją głowę, czy ty to rozumiesz? Zaczęło się na dachu, więc wylazłem zobaczyć. Tam ktoś był, ale jakem wylazł z tej budy, już tam nikogo nie było. Już był gdzie indziej. Pobiegłem, szukałem — nikogo. A ja słyszę — rozumiesz to? — słyszałem wyraźnie, że ktoś przewraca węgiel. Wszystko było doskonale słychać i jeszcze jakieś łańcuchy, jakby kto wagony odpinał. Pobiegłem tam, a już mi serce, o tu, stało. Już sił nie miałem. Co ty myślisz! Kiedym przybiegł do tego wagonu — ja wiedziałem, że on tam jest — to nagle z góry coś mi na łeb zleciało. Taki wielki kawał węgla. Chwyciły mnie mdłości. Ale go wtedy zobaczyłem, biegł po wagonach, górą. To ja pobiegłem obok, po peronie, ale kiedym dobiegł do końca pociągu, to — Ernest Mayer zająkał się — to już wcale go tam nie było, przepadł. Och, myślałem wtedy, że się uduszę. Poleciałem z powrotem, no i... zobaczyłem go wtedy dokładnie. Był już daleko, wiał. Ja nie wiem, jak podniosłem ten karabin. Byłem zupełnie ślepy. Nie mierzyłem — Ernest Mayer chwycił Ottona za przegub dłoni. — Słyszysz? Nie mierzyłem wcale. Tylko podniosłem karabin, no i...

— Strzeliłeś — podpowiedział Otto.

— Tak — odrzekł Ernest Mayer cicho.

— No i co? Chybiłeś? Nie! — Co się z tobą dzieje?

Ernest Mayer zamilkł na chwilę. Zdawało się, że nie dosłyszał rozsądnego argumentu Ottona. Potem mówił dalej:

— Czy można dać się tak kołować? Powiedz ty, no sam powiedz. Wszyscy mnie wykołowali. Kpili ze mnie, zawsze za nic mnie mieli. Przegrywałem, zawsze tylko przegrywałem. Całe życie. Robiłem, co mogłem, łaziłem gdzie trzeba — i nic. Inni pływali, ja zawsze do dna, zawsze wychodziło nie tak, jak chciałem, zawsze najgorzej. O, te ręce zaharowałem, o, popatrz, przyjrzyj się — podsunął Ottonowi dłonie pod same oczy i Otto usunął twarz. — Przyjrzyj się. Zmęczyli mnie, zgonili, a potem wbili w ten mundur i kazali wojować. Za co ja mam wojować, powiedz, no za co? Żeby potem rozmaite Friemanny wysypiały się z moją żoną, żeby taki Koppe znowu zbijał na mnie forsę, żeby się znowu wszyscy śmieli, że Mayer taki głupi. Żona mnie kantem puściła, bo byłem za głupi. A teraz jeszcze to. Taki szczeniak, dzieciuch, żeby mnie godzinę po peronie gonił, jeszcze to... no, co ja miałem robić? No co? To ja...

— Strzeliłeś — powiedział Otto sennie.

— Tak. Zabiłem, no.

Ernest Mayer opadł na krzesło i zwiesił głowę między kolana. Siedział tak dłuższą chwilę i Otto Jung nabierał znowu odwagi. Z całej tej sprawy nie rozumiał ani słowa i był przekonany, że Mayer zwariował. Pewną przyjemność sprawiło mu tylko ostatnie słowo Mayera, bo pojął je doskonale i znalazł najrozsądniejsze argumenty. No, bo o co chodzi?

— No, to i o co chodzi? Strzeliłeś i szluś. I bardzo dobrze zrobiłeś, że strzeliłeś: taki młody bandyta to bardzo niebezpieczna rzecz. Takie dzieciuchy pod Porajem pociąg wysadziły, wiem o tym dobrze.

Teraz Ernest Mayer nie zrozumiał o co chodzi.

— Kto? Jaki pociąg? Jacy bandyci?

— No, tacy jak ten twój, ten gówniarz, sam mówisz przecie...

Ernest Mayer wybuchnął śmiechem. Ale był to śmiech, którego Otto się przestraszył. Wytrzeźwiał zupełnie. Mayer porwał się z krzesła i oparł o ścianę, a Jung patrzył na niego z przerażeniem. Nareszcie Ernest zachichotał. Głośno szczękały mu zęby i dygotały kolana.

Otto odważył się odezwać: — Ernst — powiedział — no, Ernst. Ty idioto. Powiedz jakie słowo.

— Zabiłem. Pierwszy raz w życiu zabiłem. I nic... I — dodał nieoczekiwanie — węgiel się całkiem rozsypał.

Tak więc rozmowa znowu weszła na tory przystępne Ottonowi. Zrozumiał, że jest w stanie opanować sytuację. Poczuł się lepiej. Powiedział:

— Czy ty myślisz, głupi człowieku, że ja cię nie rozumiem? Ja ci coś opowiem: przed dwoma laty byłem w takim małym mieście, Radom się nazywało, służyłem tam w takim plutonie, co wykonywał egzekucje na polskich bandytach. No i co? To idzie raz dwa, tylko trzeba się przyzwyczaić. Bierzesz na muszkę, najlepiej w czoło albo w żołądek, to zależy. Tam pod tym murem to się widzi różne takie rzeczy, że jak kto nieprzyzwyczajony, to będzie tak jak ty... wiesz, no, zdenerwuje się. Ale ja nie takie rzeczy widziałem. To idzie zresztą raz dwa. Naciskasz spust i już. Ale to tak zawsze na początku, ja wiem. Przyzwyczaisz się...

Tu Otto Jung podniósł się z krzesła, bo Ernest Mayer zaczął iść ku niemu wolnymi krokami. Zatrzymał się bardzo blisko Ottona i mówił tak:

— I czego ty kłamiesz? Czy ty wierzysz w to wszystko? Czy ty wiesz, dlaczego ja zabiłem tego chłopaka? Ja ci zaraz powiem. Zabiłem go, bo mi dali karabin, zabiłem go, bo mi dali rozkaz, żebym z tego karabinu strzelał...

— Rozkaz to rozkaz — wtrącił Otto.

— Ernst Mayer jest fuszer — mówił dalej Ernest. — Ale Ernst Mayer wie, że zabijanie to... kłamstwo. Kłamstwo — krzyknął. — Jezus Maria, ja ucieknę! Ja sobie kropnę w łeb! Ja już mam dosyć...

— Ernst, ty uważaj — upomniał Otto. — To wojna.

— A ja mam dosyć tej wojny! — Tu Ernest Mayer ściszył głos i mówił z przejęciem: — Ja ci coś powiem: ty znałeś Kurta? Nie, skądże go mogłeś znać, przecie. To był taki zwyczajny człowiek. On był, zdaje się... komunista. Ty wiesz, co on mi jeszcze długo przed wojną mówił? Mówił mi tak: — Uważaj, Ernst, widzisz co się dzieje? — A ja nic nie widziałem, nic. — Kombinuj coś, bo ty jesteś uczciwy człowiek. Ja cię lubię, Ernst, ale dlaczego ty taki słaby? Wojna będzie jak dwa a dwa cztery. — No, jak będzie to będzie. A ty pójdziesz na tę wojnę? — zapytałem go. A on pokręcił głową: — Oni pójdą na Rosję, a ja... ech, bracie — mówił mi „bracie“ — ja, widzisz, gdzie indziej się wybieram. Tobie nie mówię, bo się nie nadasz, ale ty coś kombinuj. — Tak mi powiedział. Zanim wybuchła ta wojna, to Kurt zginął. On zginął, a ja zabijam. Jezus Maria, Otto, ja gdzie zwieję, albo...

Drzwi otworzyły się zgrzytliwie i weszła „mama Rogalik“.

— Panowie żołnierze, tam panowie oficerowie przyszli. Niech panowie żołnierze wyjdą tędy, od tyłu.

Otto skorzystał z okazji i wymknął się prędko przez wskazane drzwi. Ernest Mayer popatrzył za nim w ciemność, po czym poszukał furażerki, wcisnął ją mocno na głowę i wyszedł na mroźne powietrze.

Ruszył ku koszarom.

NASTĘPNEGO dnia od samego rana Otto starannie unikał Ernesta Mayera. Mayer dziwił się temu trochę, ale nie miał wiele czasu; wypadła mu robota przy wyładunku min przysłanych z Wrocławia — miały jechać na wschód, więc trzeba je było popchnąć na Warszawę. Pracowano przy tych minach prawie trzy godziny, zaraz potem Ernest Mayer miał ostrą wartę przed magazynami z tymi minami, ale niespodziewanie odwołano go stamtąd, więc ruszył do koszar i wszedł do kantyny. Tam natknął się na Ottona, który pił kawę wsparty łokciem o bufet. Ernest Mayer zagadnął:

— No, jak Otto, wyspałeś się po wczorajszym? — Jung postawił kubek. Odpowiedział sztywno:

— Żołnierz Wehrmachtu nie powinien pić wódki. Nigdy ci tego nie daruję. — I wyszedł.

I znów zdziwił się trochę Ernest Mayer, bo to Otto przecież zaciągnął go do mamy Rogalik. Ernest z zasady nie pił wódki, nie lubił. Patrzył za wychodzącym Ottonem i patrzył wtedy jeszcze, gdy głośno zamknęły się za nim drzwi.

Nie miał obecnie żadnego zajęcia. Wałęsał się trochę po koszarach, wlazł na pryczę, oparł buty na drewnianej poręczy i wsadził ręce pod głowę — oglądał rudy zaciek na suficie — ale zaraz wstał i wyszedł na dziedziniec. Dwu żołnierzy niosło właśnie parujący sagan i Mayera doleciał zapach ciepłej zupy. Był trochę głodny, zawrócił więc i poszedł za tym saganem.

Przy Ottonie miejsce było zajęte. Siedział tu ów młody chłopak, którego Ernest Mayer niósł niegdyś przez trzy kilometry na plecach — i wcinał zupę słuchając w pełnym uszanowania skupieniu przemowy Ottona. Ernest usłyszał tylko jej strzęp: — ...sam tam byłem, to wiem doskonale... — Mayerowi zdawało się, że Otto to właśnie mówił, ale może było to złudzenie. Wziął sobie zupę i chleb i usiadł na jakimś wolnym miejscu. Po obiedzie poszedł znów na pryczę, wyjął spod poduszki list Elzy z 12 października i przeczytał go sobie raz jeszcze bardzo dokładnie. Potem wydobył blankiet poczty polowej i kopiowy ołówek. Zaczął pisać odpowiedź. Nareszcie odwrócił się plecami i przykrył głowę ramieniem.

— No, Mayer, czas na ciebie.

...Kto to mówi? Czyje to słowa? Ernest Mayer widzi przez mgnienie oka kapryśne usta Fritza Friemanna, jego różową, ruchliwą twarz...

— No, zabieraj się, Mayer.

Ernest dociągnął pas i nacisnął czapkę. Wyprowadzono go na ulicę, szedł pod eskortą Johanna Kriemera i Gustawa Freiera, tych samych, którzy niegdyś największe stroili zeń żarty. Szli po obu stronach, o pół kroku za nim, a gdy Ernest Mayer odwrócił lękliwie głowę, zobaczył ich ściągnięte kwaśno twarze. Na skrzyżowaniu pod biskupim pałacem przeszedł w ręce żandarmerii SS. Skręcając do gmachu komendy zobaczył jeszcze tamtych dwu, jak oddalali się w głąb ulicy z karabinami zwieszonymi niedbale lufami w dół.

W hallu zdjęto mu pas. Bardzo żałośnie wyglądał Ernest Mayer bez pasa. Usiadł na ławce i zwiesił dłonie między kolanami. Czekał niedługo. Po kwadransie poczuł uderzenie w plecy, więc wstał i poszedł naprzeciw czarnym drzwiom majora Loewcke - Eisenherza.

Zalało go światło, zmrużył oczy. Szedł przed siebie. Daleka była droga, Ernest Mayer mijał szereg wysokich fliarów, a kiedy nareszcie otworzył szerzej oczy, zobaczył zęby majora Loewcke wyszczerzone w przyjaznym uśmiechu. Zerknął za siebie: — nie było tam nikogo. Potem znów spojrzał na majora, który zwinięte w pięści dłonie opierał niedbale na szerokim blacie biurka.

Major milczał i Ernest Mayer milczał, nie pytany. Spuścił oczy i patrzył ukośnie w kule lamp odbitych w lśniącej ścianie biurka. Czuł dygotanie kolan i lekkie mdłości, w ustach miał sucho, więc poruszał językiem wokół dziąseł. Nareszcie opanowała go tak zupełna słabość, że poszukał rękami oparcia, ale ręce zwisły bezwładnie. Na koniec podniósł wzrok. Major uśmiechał się ciągle. W Mayerze zatrzepotał paniczny lęk, a potem wszystko runęło nagle w dół, do żołądka. Stracił oddech i chwiał się na nogach.

Major Franz Loewcke-Eisenherz znał to wszystko dokładnie. Wszyscy oni najpierw żują, potem wiosłują rękami, potem chybocą się na nogach. Sztuczka majora jest niezawodna. To wszystko było bardzo interesujące i właśnie zmierzało ku końcowi. Major poszukał stopą dzwonka.

Ernest Mayer zwarł mocno szczęki. Bolało. Milczał. Kłuło go światło, więc przymknął oczy. Teraz oczekiwał końca. Jeszcze tylko maleńka chwila, parę sekund. Wszystko polega na tym, żeby utrzymać się na nogach. Parę sekund jeszcze... a potem...

— *Sprechen Sie, bitte.*

Dreszcz wstrząsnął ciałem Ernesta Mayera. Otworzył oczy na blask. Major Loewcke już się nie uśmiechał. „Jaki on podobny do... do... do kogo jest podobny major Loewcke-Eisenherz? Trzeba to sobie koniecznie przypomnieć... Pamiętasz, Mayer taki dziwny dzień. Do Essen wracasz, bracie? Zabieraj się, czas na ciebie, Mayer. Eeech“.

— *Na, bitte, sprechen Sie, Herr Mayer.* Dlaczego pan nie mówi?

— Co mam mówić? — zapytał Ernest Mayer, ale z gardła wydobył mu się tylko niewyraźny charkot.

— Milczeć! — krzyknął nagle Loewcke, ale Mayerowi było to już zupełnie obojętne.

Major Loewcke-Eisenherz wyskoczył zza biurka, chybotliwym krokiem karła przyskoczył do Ernesta Mayera i uderzył go w nos. Mayera otoczył mrok. Czuł łaskotliwe ciepło spływające mu na wargi. Podniósł ciężko powieki: Hitler na złoto-amarantowym portrecie chylił się i otwierał usta. Wtedy Ernest Mayer wyciągnął przed siebie ręce o zakrzywionych palcach i szukał nimi w powietrzu, lecz że nic nie znalazł, przeto zerwał z głowy furażerkę, ostatnią swą dystynkcję wojenną i oblema rękami rzucił nią w twarz majora Fritza Loewcke-Eisenherza i w portret führera.

Major zmierzył dokładnie i strzelił.

— Kanalia — powiedział i wrzucił rewolwer do biurka.

PRZY zwłokach Ernesta Mayera znaleziono blankiet Feldpostu z datą bieżącą. Tekst listu był zwięzły:

Moja droga Elzo,

Odpisuję na Twój list i donoszę, że znowu zrobiłem głupstwo, ale to już ostatni raz. Poza tym nic nowego, jak to na wojnie. Co do tamtego to się zgadzam. Jak będzie syn, to go nazwij, jak ci się podoba. Listów już do mnie nie wysyłaj.

Ernst Mayer

Na dole dopisek:

Pastorowi możesz ode mnie powiedzieć, żeby się sam uśmiechał, jeśli ma z czego.

Stanisław K. Stopczyk

JÓZEF SZCZAWIŃSKI

5 MIESIĘCY DYSKUSJI O TEATRZE

CZYTELNICY prasy kulturalnej, nawet ci, którzy stronią od kobylastych artykułów problemowych lub szukają w dyskusjach jedynie frapujących pojedynków, musieli zauważyć, że teatr znalazł się — na stole operacyjnym.

Dziwna to operacja, wzięli w niej bowiem udział nie tylko felczerzy z Ministerstwa Kultury i Sztuki i znachorzy z działów teatralnych w prasie codziennej, lecz również prawdziwi chirurdzy-teatrolodzy, reżyserzy i aktorzy. Dziwna również dlatego, bo rozpoczęta w okresie, gdy u chorego dają się zauważyć objawy powrotu do zdrowia. Tak więc przedstawia się pięciomiesięczny okres nasilenia teatralnych dyskusji: od XIII Sesji Rady Kultury i Sztuki poprzez naradę młodzieży teatralnej i I Zjazd SPATiF-u do konferencji przedstawicieli szkół aktorskich i PWST. Wyłuskać z blisko stu godzin przemówień i sporów najdojrzalsze ziarna problemów, sprasować w kilkuset wierszach druku setki stron maszynopisu — to praca równie niewdzięczna jak wysiadywanie krzeseł w sali przy ul. Senatorskiej A więc, by na tych łamach się nie powtarzać (pisano i o XIII sesji i o zjeździe młodych) wspomnę o paru tylko sprawach, które wydają się kluczykami do szkatuły z prawdziwą sztuką.

SŁONIE I PORCELANA

Zacznijmy poczciwym, aczkolwiek nie dziennikarskim zwyczajem od Adama i Ewy, czyli jeszcze od słynnej XI Sesji Rady Kultury i Sztuki. Zawołano wtedy gromko, że „król jest goły", dodając słusznie, że wobec tego należy wezwać nie ślusarzy ale krawców, by go ubrali. Tak zaczęło się przewietrzanie naszej kultury, a więc i teatru. Uchylano okna ostrożnie, by twórcy (wiadomo nie zahartowani) nie dostali ideologicznego kataru. I tu napotykamy na problem pierwszy — na brak zaufania wobec odporności artystów na powietrze i przeciągi. Sprawa zaufania do twórców, do ich pełnego przeżycia i zrozumienia społecznych potrzeb współczesności powracała uporczywie przy każdej okazji. Rozdział na ludzi „robiących" politykę kulturalną i ludzi według z góry narzuconych szablonów wyrażających treści polityczne w sztuce — musiał dać złe rezultaty. Nikt nie myśli o wyeliminowaniu polityki ze spraw sztuki — byłoby to zaprzeczeniem wychowawczych zadań teatru. Sprawa polega na tym, żeby tworzyli ją na swoim odcinku sami twórcy a nie oddelegowani w tym celu politycy „od kultury". W przeciwnym razie zawsze będziemy mieli do czynienia nie z inspirowaniem twórczości, ale z administrowaniem sztuką. A „administrowanie" w tak trudnej i skomplikowanej dziedzinie, jak twórczość artystyczna — to przecież najszkodliwsza odmiana biurokracji. Tak więc brak zaufania do twórcy musi zrodzić niezdrowe ambicje urzędników — przywłaszczenia sobie kompetencji artysty w dziedzinie jemu wyłącznie przynależnej. Wniosek — słoń jest stworzeniem bardzo pozytywnym, lecz na pewno nie na posadzie ekspedienta w składzie z porcelaną.

A jakie wynikają z tego konsekwencje dla kształtowania się artystycznego oblicza teatru?

Aby nie być posądzanym o „dorabianie wytrychów" posłużę się tutaj cytatem:

W artykule wstępnym dwutygodnika „Teatr" (nr 4 br.) znalazły się złote myśli, nieraz odnajdywane zresztą w czasie obrad. Pisano tam m. in.: *„Planowanie, owa piękna i cenna właściwość naszego ustroju — stało się w praktyce nowego chowu teatralnych biurokratów, działających pod skrzydłami ministerialnych papierków — parawanem osłaniającym asekuranctwo, bezideowość oraz bezbolesną rezygnację z własnych artystycznych ambicji. Najłatwiejsze w takiej sytuacji i najmniej ryzykowne było masowe wygrywanie sztuk krytykujących przywary szlachty i mieszczaństwa w okresie ich degeneracji jako klas".* — I tu dochodzimy do istoty sprawy. Cytuję dalej: — *„Owej oportunistycznej praktyce próbowano doczepić różne teoryjki jak na przykład o ścisłej więzi między realizmem krytycznym a realizmem socjalistycznym, w myśl której realizm krytyczny jest rzekomo jakimś koniecznym do przebycia przedsionkiem wiodącym do realizmu socjalistycznego. Głosiciele tych teoryjek dreptali przeto przez kilka lat po przedsionku nie starając się zbytnio o szybsze dojście do właściwego celu. Całą swą twórczą inwencję i wynalazczość zużytkowali dla wynalezienia jeszcze jakichś nieznanych utworów; wyśmiewających przywary szlachecko - mieszczańskiej obyczajowości".*

Przepraszam za przydługi cytat, ale on właśnie doskonale ilustruje związek między generalnymi błędami w praktyce kulturalnej a efektem tych błędów w dziedzinie artystycznej. Czy jednak odpowiedzialność za podreptywanie naszej sztuki w tyle za przemianami społecznymi i gospodarczymi, za rozwojem socjalistycznej świadomości społeczeństwa ponoszą wyłącznie urzędnicy, nawet ci najwyżsi w kulturalnej drabinie służbowej?

MILCZENIE NIE ZAWSZE JEST ZŁOTEM

Brak zaufania do człowieka jest i będzie zawsze błędem, ale nie należy zapominać, że błąd ten mógł być argumentowany zbyt powolnymi przemianami ideologicznymi zachodzącymi wśród naszych artystów. Źle natomiast, że wypadki tych opóźnień ideowo - artystycznych spowodowały szkodliwe wnioski i wulgaryzację, źle, że wskutek tego krzywdzono ludzi, którzy tak wiele mieli do powiedzenia i zrobienia w sprawach teatru.

Ale tu znów uderza fala dalszych wątpliwości. Nie wydaje się możliwe, żeby przeszedł bez echa głos całego naszego aktorstwa protestujący przeciw tym krzywdzącym decyzjom władz kulturalnych. Nie wydaje się również prawdopodobne, żeby liczne memoriały i postulaty SPATiF-u w sprawie błędów popełnianych przez CZT przeleżały tyle czasu w cezetowskich biurkach, gdyby wiedział o nich tzw. teren, gdyby ogół aktorstwa je poparł. Stąd wniosek: od stopnia aktywności ideowo - artystycznej i organizacyjnej wszystkich ludzi związanych z teatrem zależeć będzie, czy podstawowy dla rozwoju każdej sztuki postulat swobody (ale nie anarchii) twórczej znajdzie właściwe formy realizacyjne. Możemy bowiem zauważyć, że zespoły młode, najbardziej ideowe i zwarte organizacyjnie, lub teatry sięgające po repertuar śmiały artystycznie, ale i zdeterminowany ideologicznie — pierwsze zaczerpnęły pełną piersią strumień świeżego powietrza dając spektakle równie śmiałe w sytuacji naszego teatru jak i interesujące artystycznie. Nie przypadkowo Majakowski i Brecht patronowali tym próbom, nie przypadkowo sięga się dość często do elementów inscenizacyjnych ludowego teatru Vilara. Miejmy nadzieję, że wielkie inscenizacje romantyczne przyniosą dalsze i jeszcze bardziej oryginalne rozwiązania twórcze.

Jest faktem, że sceny nasze odchodzą od małego realizmu, z którego, jak z krótkich spodenek, wyrosła już młodość naszego teatru.

SWOBODNY WIATR I MAGICZNE SŁOWO

Nie wystarczy jednak stworzenie odpowiedniego klimatu dla rozwinięcia inicjatywy twórczej. Zresztą klimat ten powstaje nie tylko na skutek słusznych rezolucji i zapewnień tzw. czynników. Musi on mieć odpowiednie gwarancje trwania i oddziaływania. Taką konkretną gwarancją rozwoju naszego teatru (który przecież posiada i wybitnych reżyserów i świetnych aktorów) były dotąd dwa niemal magiczne (bo nieuchwytne w praktyce) słowa: repertuar i decentralizacja. O repertuarze była już mowa niejednokrotnie. Zastanówmy się więc jak rozumie tzw. człowiek teatru decentralizację?

A więc decentralizacja — to skuteczne ograniczenie biurokratycznej samowładzy CZT i przerostów w planowaniu, to zlikwidowanie spojrzenia na teatr jako na przedsiębiorstwo produkcyjno - handlowe (co odwracało do góry nogami właściwy sens jego istnienia). Decentralizacja powinna wreszcie umożliwić tworzenie się trwałych i artystycznie skonsolidowanych zespołów, wzmóc swobodę i inicjatywę twórczą kierownika artystycznego i Rady Artystycznej, sprawić, by czuli się oni gospodarzami w swoim teatrze. Żądania — by kierownictwo posiadało większą swobodę w dysponowaniu funduszami przyznanymi dla teatru i w ramach ustalonych etatów, by mogło decydować o sprawach personalnych zespołu, mają swoje uzasadnienie w trosce o właściwe artystycznie funkcjonowanie naszych scen. Wreszcie w „idei" decentralizacji mieści się sprawa odpowiedniego, a więc dalekowzrocznego gospodarowania siłami i talentem aktora, a także poprawy warunków pracy, szczególnie w teatrach prowincjonalnych.

Związek między właściwą atmosferą pracy w teatrze, odpowiednimi a przynajmniej znośnymi warunkami technicznymi a efektem artystycznym, więc także i ideowo-wychowawczym oddziaływaniem sceny na widza — jest oczywisty.

Tu nie chodzi o jakieś specjalne uprzywilejowanie stanu aktorskiego, ale po prostu o zapewnienie artyście rozwoju twórczego, możliwości pracy nad sobą i swoją sztuką, a więc w rezultacie o siłę wyrazu scenicznego, który zdołałby przekonać widza środkami artystycznymi do treści niesionych przez sztukę. Wiemy, że miliony widzów na wsi i w miastach prowincjonalnych czekają na teatr, ale czekają na teatr dobry. Nie należy więc zbyt mechanicznie pojmować, jak czyniły to nieraz centralne władze teatralne — znanej zasady dialektycznej o przejściu ilości w jakość. Bo tu kryje się szkodliwa apoteoza produkcjonizmu teatralnego, traktowanie teatru jako przedsiębiorstwa „przemysłowego", nakładanie naszym placówkom teatralnym sztywnego gorsetu norm i dyrektyw. Czy trudności organizacyjne, techniczne i tzw. „bytowe" naszych zespołów teatralnych są nie do usunięcia. Wydaje się, że przynajmniej w deklaracjach Centralnego Zarządu, a przede wszystkim w dyskusji zjazdowej, kryją się już zalążki poprawy. Dlatego z takim uznaniem przyjęła sala (szkoda, że dość ogólnikową) zapowiedź wytępienia wszelkich prób zmierzających do traktowania teatru jako przedsiębiorstwa handlowego.

NIE BUDOWAĆ ZAMKÓW NA LODZIE

Wszelkie, nawet najbardziej realne i dalekowzroczne koncepcje, zmierzające do rozkwitu naszego teatru podobne będą przysłowiowemu budowaniu zamków na lodzie, o ile nie zostanie właściwie rozwiązana sprawa stałego dopływu młodych sił aktorskich. I właściwie całą wielomiesięczną dyskusję o teatrze należało rozpocząć od omówienia sytuacji w szkolnictwie teatralnym, od znalezienia najlepszych form rekrutacji do szkół aktorskich. Rekrutacja, programy szkolne, pozaszkolne formy kształcenia aktorów, opieka nad absolwentami, oto zasadnicze punkty dyskusji ostatniej narady szkół aktorskich i PWST. Szczegółowe omówienie tych niezmiernie ważnych zresztą zagadnień wymagałoby osobnego cyklu artykułów, zajmą się tym zresztą czasopisma teatralne. Dyskusja prasowa o młodzieży artystycznej wielokrotnie nawiązywała do spraw szkolnictwa teatralnego. Dlatego ograniczmy się do kilku uwag.

Sprawa rekrutacji: już na wstępie zarysował się problem: gdzie najbogaciej zapowiada się połów młodych talentów? Myślę, że miał rację rektor Kreczmar „stawiając" na szkoły ogólnokształcące i postulując zwrócenie w programach tych szkół większej uwagi na literaturę dramatyczną. Słuszne są również żądania, by w większym stopniu rozpropagowano istotę sztuki aktorskiej, a przede wszystkim by informacje o istnieniu szkół aktorskich dotarły do każdej miejscowości. Mam wrażenie, że ruch amatorski był i będzie nadal terenem, z którego wyłowić się da niejeden cenny talent.

Nie jest możliwe analizowanie na tym miejscu programów szkół aktorskich. *„Należy opracować program* — stwierdził rektor Kreczmar — *przy pomocy którego, nie błąkając się po bezdrożach, gdzie to raz natrafi się na właściwą ścieżkę, a raz nie, będziemy mogli metodycznie, drogą prostą i możliwie najkrótszą doprowadzać młodzież do celu i do opanowania techniki gry aktorskiej".* Wiemy, że młody człowiek staje się aktorem dopiero na scenie. Ale opuszczając szkołę musi być odpowiednio przygotowany do zdobywania ostróg aktorskich — a więc posiadać musi opanowaną metodę pracy nad każdą rolą. Powinien być poza tym uodporniony na nie zawsze właściwą atmosferę twórczą w teatrach prowincjonalnych.

Dlatego tak wiele uwagi poświęca się zajęciom praktycznym, stąd wołanie o scenę lub teatr szkolny. Niemniej głęboką słuszność miał Jan Kreczmar broniąc przedmiotów teoretycznych, żądając, by więcej troski poświęcano rozszerzaniu i pogłębianiu ogólnej kultury młodych aktorów. Człowiek, który przekazuje społeczeństwu najsugestywniej i najpełniej czołowe osiągnięcia ogólnoludzkiej kultury nie może być przecież półinteligentem.

„Teatry Polski Ludowej potrzebują znacznie więcej młodych aktorów i aktorek niż im nasze szkolnictwo teatralne dostarcza". To stwierdzenie rektora Kreczmara zobowiązuje i Centralny Zarząd Szkół Artystycznych, i CZT do uwzględnienia właściwych żądań kierownictw teatrów i szkół artystycznych. Warto przede wszystkim rozpatrzeć i w większym niż dotąd stopniu spowodować powstawanie studiów aktorskich przy teatrach, studiów, które na ogół dobrze zdawały dotąd egzamin.

JANUSZ STEFANOWICZ

NAD BEZPIECZEŃSTWEM NARODÓW

NIEDZIELA, 3 kwietnia, 10 rano. Na pustyni zwykłe o tej porze odcinku Krakowskiego Przedmieścia przed Bristolem i gmachem „pod Iwanami" panuje ożywiony ruch; za chwilę rozpocznie się zwołana z inicjatywy Polskiej Akademii Nauk konferencja w sprawie bezpieczeństwa zbiorowego. Konferencja podwójnie „międzynarodowa" — zarówno ze względu na uczestnictwo przedstawicieli ośmiu krajów, jak i na dyscyplinę naukową: — większość delegatów jest specjalistami prawa międzynarodowego. — Zanim zasiądą w sali kolumnowej Prezydium Rady Ministrów, zanim w słuchawkach zabrzmią czterojęzyczne słowa o bezpieczeństwie, pokoju i współpracy narodów—przyjrzyjmy się niektórym z nich. Poza polskimi specjalistami od spraw międzynarodowych prof. Zygmuntem Wojciechowskim, prof. Manfredem Lachsem, prof. Czesrym Berczowskim, prof. Tadeuszem Cyprianem i prof. Alfonsem Klafkowskim, którzy wygłosili referaty, w obradach biorą udział przedstawiciele Związku Radzieckiego, Anglii, Belgii, Francji, Rumunii, Węgier i Chin.

Wśród nich trzy wielkie nazwiska — radzieccy profesorowie Korowin i Durdieniewski oraz prof. uniwersytetu paryskiego, pani Suzanne Bastid. Prof. Durdieniewski, to moje pierwsze spotkanie w foyer — opowiada właśnie doskonałą polszczyzną grupie asystentów UW swoje wspomnienia z Warszawy sprzed lat 50; ojciec jego był nauczycielem języków klasycznych w VII gimnazjum na Pradze. Profesor oczarowuje nas ujmującym obejściem i wspaniałą białą brodą; oczarowuje też swą pierwszą wypowiedzią, kiedy mówi — „Chodząc dziś po wspaniałej, nowej Warszawie, pragnąłem tak bardzo, aby wszystko to, co spowodowało jej gruzy, pozostało przeszłością".

Z wielkim zainteresowaniem oczekiwaliśmy wypowiedzi pani Bastid, która nie tylko sama jest wielkim naukowcem, ale reprezentuje cały ród międzynarodowców — jej ojciec, prof. Basdevant, jest przewodniczącym Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości, mąż, profesor uniwersytetu paryskiego Paul Bastid, wydawał słynny Dictionnaire Diplomatique. Pani Bastid mówi o tych kołach nauki francuskiej, które pragną zbliżenia i porozumienia międzynarodowego, wiedząc, że świat jest jeden i niepodzielny. „Zawsze żywiłam do was dużo sympatii. Ale bezpośredni kontakt ożywia spojrzenia, wypełnia kontury sądów, pozwala widzieć z bliska was i wasze poglądy". Ta myśl, wyrażona na początku wypowiedzi pani Bastid, wskazuje na jedno z osiągnięć konferencji.

*

Bardzo jest trudno streścić, czytelnie i dziennikarsko, bogate, czterodniowe obrady nad sprawami zarazem ogólnymi i specjalnymi. Ogólnymi, bo problem bezpieczeństwa jest dziś najżywotniejszym problemem ludzkości; specjalnymi, bo dyskutowano go z punktu widzenia jednej dyscypliny naukowej — prawa międzynarodowego. Spróbujmy jednak.

Otwierając sesję, prezes PAN prof. Dembowski wskazał, że konferencja omawiać będzie dwie sprawy — zakaz broni atomowej i system bezpieczeństwa zbiorowego. W istocie bowiem są dwie strony tego samego zagadnienia — system bezpieczeństwa wynika z obowiązku pokojowego załatwiania sporów, warunkiem zaś tego jest zakaz broni masowej zagłady.

Czy jednak ów system zbiorowego bezpieczeństwa — pojęcie sięgające przecież zaledwie ostatnich 30 lat — jest rzeczywiście jedynym sposobem pokojowego współżycia narodów? Czy tradycyjne metody aliansów i kontraliansów, porozumień dwustronnych i bloków nie są równie dobre? Jeśli sceptyczny czytelnik postawi takie pytanie, niech odpowie mu historia lat międzywojennych.

„Zbiorowe bezpieczeństwo — powiedział w jednym z referatów sesji prof. M. Lachs — nie zrodziło się nagle, jako magiczna formuła pokoju. Zasady, na których się ono opiera są wynikiem konkretnych procesów historii". A te właśnie procesy historii wykazały, że wszelkie inne formuły i koncepcje polityczno-prawne prowadzą — pośrednio lub bezpośrednio — do wojny.

Kiedy zawierano traktat wersalski, zdawało się, że osiągnięte zostały dwa cele — likwidacja militaryzmu niemieckiego i stworzenie systemu bezpieczeństwa w pakcie Ligi Narodów. Ale pakt Ligi stwarzał system bardzo iluzoryczny; co gorsze, skierowany był przeciwko jednemu z sześciu ówczesnych mocarstw świata, przeciw Związkowi Radzieckiemu. Ale militaryzm niemiecki już na drugi dzień po podpisaniu traktatu wersalskiego znalazł gorące poparcie w kołach rządowych i monopolach USA. Stany Zjednoczone nie ratyfikowały traktatu; szybko udzieliły Niemcom 800 milionowej pożyczki; Stany nakłoniły państwa Europy zachodniej do zawarcia układów lokarneńskich — za słowne gwarancje granic z Francją i Belgią uzyskały ewakuację Francuzów z terytoriów nadreńskich i faktyczne potwierdzenie prawa do ekspansji na wschód. Sześć lat potem Hoover umarza długi niemieckie wobec USA, gwałtownych zbrojeń niemieckich, budowy „nieszczęsnych krążowników" nie ostrzega się. Wreszcie przychodzi szczytowy punkt zmowy z faszystami, wstęp do tragedii II wojny — Monachium. Stamtąd nie było już odwrotu — polityka bloków, tolerowania agresji, nienawiści przeciw Związkowi Radzieckiemu, dała rezultaty, o których nie trzeba chyba pisać.

„My, ludy Narodów Zjednoczonych, zdecydowane zjednoczyć swe siły dla utrzymania międzynarodowego pokoju i bezpieczeństwa" ...te mocne, pełne nowych perspektyw dla ludzkości słowa znalazły się równo dziesięć lat temu we wstępie do Karty Narodów Zjednoczonych podpisanej w San Francisco. Te słowa potwierdzały — podobnie jak późniejszy wyrok norymberski — bezsporny już we współczesnym prawie międzynarodowym: zakaz prowadzenia wojny napastniczej; potwierdzały zarazem korelat tego zakazu — nakaz pokojowego rozstrzygania sporów w ramach systemu bezpieczeństwa zbiorowego. W dalszych przepisach Karty ustanowiono odpowiedni mechanizm tego systemu. Mechanizm zresztą bardzo elastyczny — nie ma żadnej recepty na załatwienie konkretnego sporu; państwa muszą dążyć wszelkimi środkami do pogodzenia się, jeśli im się to nie udaje, z pomocą przychodzi Rada Bezpieczeństwa, która bada sprawę i w razie konieczności nakazuje odpowiednie kroki. System bezpieczeństwa nie polega jednak tylko na zapobieganiu konfliktom zbrojnym: w razie, gdyby państwo jakieś rozpoczęło wojnę napastniczą, ofiara napaści korzysta z przywilejów zbiorowej samoobrony — wszystkie państwa łączą się pod kierownictwem centralnego organu w walce z agresorem; musi istnieć jednak gwarancja, że ten centralny organ nie jest narzędziem jakiegokolwiek bloku, że w decyzjach swych kieruje się zasadą niepodzielności pokoju — dlatego właśnie Rada Bezpieczeństwa działa na zasadzie jednomyślności wielkich mocarstw. Mechanizm Rady Bezpieczeństwa ma zasięg światowy: Karta ONZ dopuszcza jednak tworzenie porozumień regionalnych, które mogłyby szybciej i sprawniej załatwiać spory lokalne, bez potrzeby uruchamiania tego mechanizmu. Taki system w odniesieniu do Europy proponował Związek Radziecki na konferencji berlińskiej w zeszłym roku — poręczałby on wzajemne bezpieczeństwo i pokojowe współistnienie wszystkich państw europejskich, będąc układem dla wszystkich otwartym, równoprawnym i nie skierowanym przeciw żadnemu innemu państwu. Mocarstwa zachodnie odmówiły. Macarstwa zachodnie bowiem, stosując zabawną często ekwilibrystykę prawniczą, uważają, że wcielają przepisy o porozumieniach regionalnych przez montowanie bloków przeciw ZSRR. Dużo już słyszeliśmy o tych dziwnych regionach geograficznych obejmujących — w przypadku NATO — kraje położone na czterech kontynentach. Ale to jest mniej ważne. Ważniejsze, że wszystkie one noszą charakter otwarcie agresywny. NATO i układy paryskie wymierzone są przeciw ZSRR (wystarczy przypomnieć odmowę mocarstw zachodnich, gdy Związek Radziecki wyraził chęć przystąpienia do NATO); wbrew układom poczdamskim wprowadzają remilitaryzację Niemiec; sankcjonują interwencję w wewnętrzne sprawy państw; podobnie pakt Azji południowo-wschodniej, wymierzony niedwuznacznie przeciw Chinom Ludowym — tworzy się tam „strefę traktatu" będącą w istocie rzeczy dziewiętnastowieczną „strefą wpływów", przewiduje się działanie zbrojne na wypadek wewnętrznych ruchów rewolucyjnych, uznanych za agresję komunistyczną itd.

Wszystkie te pakty, montowane prawie zawsze z inicjatywy Stanów Zjednoczonych, stanowią kontynuację polityki bloków i aliansów, polityki „równowagi sił", zastrzeżonych wpływów i innych metod imperialistycznego podziału świata. Powodzeniu tej polityki służyć ma wyścig zbrojeń, rozpętywanie psychozy strachu, atmosfery katastrofy, służyć ma to wszystko, co stworzyć może „pozycje siły" świata zachodniego. Ale iluzoryczność „pozycji siły" staje się coraz bardziej widoczna. Na tym tle opinia narodów coraz gwałtowniej domaga się zaprzestania zbrojeń, zakazu broni masowej zagłady i wprowadzenia systemu gwarantującego pokój i bezpieczeństwo międzynarodowe.

System bezpieczeństwa zbiorowego jest jedynym systemem, zdolnym do położenia kresu wyścigowi zbrojeń. W dyskusji dr Kazimierz Kocot przypomniał powiedzenie jednego z polityków francuskich, że czasownik „desarmé" ma we wszystkich językach odmianę regularna — brak 1 osoby i tylko czas przyszły; system bezpieczeństwa zbiorowego sprawić może, iż czasownik „armé" będzie miał tylko czas przeszły.

Sesja Naukowa PAN zwołana została w okresie szczególnego napięcia międzynarodowego. Zwołana została po to właśnie, aby udowodnić naukowo, w oparciu o zdobycze prawa międzynarodowego, to, o czym w swoim sumieniu i opinii publicznej przekonane są narody — że pokój jest jeden i niepodzielny oraz, że zabezpieczenia jego jest ciągle jeszcze możliwe.

WŚRÓD CZASOPISM

WROCŁAWSKI TYGODNIK KATOLICKI O MSZY ŚWIĘTEJ

MSZA św. jest ośrodkiem katolicyzmu, najistotniejszym elementem chrześcijańskiej religii, centralnym założeniem jej doktryny o uświęcającej działalności Kościoła i podstawowym źródłem jej siły. Człowiek, który nie rozumie, jakie jest jej miejsce w religii katolickiej, nie rozumie i nie może rozumieć chrześcijaństwa. Człowiek, który nie umie uczestniczyć w ofierze Mszy św., nie umie uczynić jej swą własną ofiarą, nie może być chrześcijaninem w pełnym tego słowa znaczeniu.

Polskie społeczeństwo katolickie posiada pod tym względem duże braki, zarówno jeśli idzie o teoretyczne zrozumienie, jak i o praktyczne uczestnictwo; dlatego też należy się najwyższe uznanie redakcji „Wrocławskiego Tygodnika Katolickiego" za inicjatywę poświęcenia jednego z numerów pisma (Nr 14 z dnia 3 kwietnia 1955 r.) w całości temu właśnie zagadnieniu.

Numer „specjalny" WTK dając czytelnikom w swym cyklu artykułów sumę podstawowych wiadomości o Mszy św., zarówno od strony teoretycznej jak i praktycznej, stanowi pewnego rodzaju katechizm tego zagadnienia. Poszczególne artykuły mówią o historii Mszy św., o jej treści i istocie teologicznej, o czynnym udziale i uczestnictwie wiernych, o paramentach i sprzęcie liturgicznym. Ponieważ konstrukcja numeru posiada oczywiście charakter publicystyczny, a nie podręcznikowy, nieuniknione było pewne częściowe powtarzanie się materiału w poszczególnych artykułach; niemniej zawsze w innych relacjach i w innym ujęciu. Ma to zresztą swą dobrą, czy nawet bardzo dobrą stronę, ponieważ pozwala poszczególne problemy lepiej zrozumieć i mocniej przeżyć.

Numer otwiera wspomniany wyżej artykuł wstępny Tadeusza Mazowieckiego, który wskazuje na rodzaje niedowładu, na podstawowe błędy cechujące stosunek polskich katolików do Mszy św. Pewną syntezę problematyki Mszy daje w krótkim artykule ks. Gawlik. O samej istocie ofiary mszalnej, jako o powtórzeniu ofiary krzyżowej, o jej naczelnym miejscu w katolicyzmie mówi jeden z najwybitniejszych polskich liturgistów ks. Wiesław Kowalski. O roli ofiary w religii, o Mszy jako o ofierze całego Kościoła i indywidualnej ofierze każdego z nas, pisze ks. Tarnogrodzki. Artykuł ks. Zienkiewicza poświęcony jest uczcie Eucharystycznej — Komunii św., jej organicznemu związkowi z istotą Mszy. Większą część artykułu zajmuje krótka historia roli, jaką w życiu chrześcijańskim zajmowała Komunia św., począwszy od pełnego prostoty stosunku pierwszych chrześcijan, poprzez pewne wypaczenia średniowiecza i wieków późniejszych, aż do dzisiejszego odrodzenia, którego głównym hasłem jest jak najczęstsze, choćby codzienne zjednoczenie z Chrystusem. Artykuł ks. Sąsiadka zajmuje się uświęcającym działaniem Mszy. O historii liturgii mszalnej pisze ks. Mrówka. Natomiast historyczno-doktrynalny charakter posiada artykuł ks. Czuja, rektora Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie. Autor przedstawiając nam naukę Ojców Kościoła o Eucharystii na przykładzie wypowiedzi świętych: Hieronima, Augustyna i Jana Chryzostoma, daje tym samym najbardziej autentyczny wykład istoty Eucharystii jako ofiary i sakramentu.

Szereg artykułów omawia zagadnienie naszego praktycznego udziału we Mszy św. Ks. Wojtukiewicz pisze o świadomym udziale w ofierze mszalnej, specjalnie podkreślając wychowawcze znaczenie tekstów liturgicznych. W sposób najbardziej praktyczny i szczegółowy pisze o czynnym uczestnictwie wiernych ks. Spikowski wyjaśniając przy tym układ Mszy. Zofia Kral w swej recenzji z ostatnio wydanego „Mszału niedzielnego i świątecznego" podkreśla znaczenie współuczestnictwa w modlitwie liturgicznej Kościoła. Ks. Kornobis pisze o konieczności i znaczeniu słuchania kazań. Symbolikę sprzętu i szat liturgicznych wyjaśnia ks. Puzio, a artykuł Tadeusza Wasiekiego o organach, tym wspaniałym instrumencie uświetniającym swą muzyką obrzędy Kościoła, zamyka numer. Wydaje się bardzo trafne zamieszczenie w numerze dotyczącego Mszy św. wyjątku z powieści Marshalla „Chwała córy królewskiej", który jak każda dobra literatura lepiej i skuteczniej może uzmysłowić pewne aspekty omawianego zagadnienia, niż niejeden poważny artykuł.

J. Z.

Aktualia księgarniane:

POEZJA I DRAMAT

Z prawdziwym zadowoleniem zabieram się do napisania dzisiejszej kroniki. Czynię to dlatego, że chociaż interesuję się całym naszym ruchem wydawniczym, ze specjalną uwagą wypatruję tak rzadkich w porównaniu z innymi wydawnictwami tomików wierszy. Coś niecoś się jednak w ciągu ostatnich tygodni uzbierało. Na półce podręcznej biblioteczki pojawiło się szereg nowych zbiorków.

Z klasyki polskiej mamy dwa małe tomiki Kochanowskiego: **„Wiersze"**, wyd. przez „Naszą Księgarnię" z ilustracjami St. Töpfera i **„Elegii Ksiąg Czworo"** (pełne wydanie łacińskich Elegii Kochanowskiego — PIW). „Czytelnik" wypuścił nowe, oprawne wydanie **„Pana Tadeusza"** (jako offsetową odbitkę IV tomu Wydania Narodowego Dzieł Mickiewicza). W tomie znajdujemy znane ilustracje E. Andriollego. Dla miłośników poezji staropolskiej dużym rarytasem są dwa tomy poezji Zbigniewa Morsztyna pt. **„Muza domowa"** (PIW). Wydanie obejmuje całość twórczości tego siedemnastowiecznego poety-arianina. Opracowanie i przedmowa J. Dur-Durskiego.

Poprzez lady księgarniane przemknęły niedawno jak meteor, pozostawiając za sobą tylko smugę żalu u tych, którzy nie zdążyli... **„Słówka"** Boya Żeleńskiego (WL). Duże powodzenie (może z powodu frywolności niektórych?) mają **„Piórka"** Sztaudyngera („Czytelnik") oraz **„Bajki drugie"** znanego chociażby z „Przekroju" satyryka L. J. Kerna (WL).

Prawdziwym wydarzeniem kulturalnym stało się wydanie obszernej antologii **„Poezja Polski Ludowej"** (PIW) w opracowaniu R. Matuszewskiego i S. Polaka. Dobór autorów i utworów budzi gorące dyskusje. Jedni chcieliby w książce widzieć nazwiska nieuwzględnione w niej, drudzy zżymają się na to, co im się wydaje niepotrzebne. „Kłótnia" wre. To dobrze. Bez tego nie ma postępu i rozwoju. Nawet w poezji.

Najbardziej ceniony z młodych poetów (ceniony przeważnie przez jeszcze młodszych, zapatrzonych w „mistrza"), Tadeusz Różewicz, wystąpił z nowym tomikiem pt. **„Uśmiechy"** („Czytelnik"). Ku rozczarowaniu entuzjastów liryki nie uznających innych form, zbiorek zawiera obok niewielu liryków znanych nam już z tygodników literackich, utwory satyryczne pisane wierszem i prozą: fraszki, bajki, humoreski... Zbiorek ozdabiają oryginalne ilustracje J. Tchórzewskiego. W „mieszance" tej każdy jednak po pierwszej niespodziance znajdzie coś dla siebie. Już motto mówi:

„Fraszki tu niepoważne z statkiem się zmieszały.
Komu by drugie rzeczy pięknie smakowały
Wziąwszy swą część, ostatek drugim niech podawa...
(Kochanowski)

Za to **„Po polsku"** („Czytelnik"), tomik tak dawno nic nie wydającego autora „Ołowianych żołnierzy" Jerzego Ficowskiego, to już czysta liryka. Nikt nie pożałuje wydania 4.80 zł, w zamian otrzyma 75 wierszy, z których kilkanaście naprawdę pięknych.

Także „Czytelnik" wydał **„Wiersze wybrane i przekłady"** Seweryna Pollaka. Wiele przekładów poetów rosyjskich i radzieckich znamy już z antologii „Dwa wieki poezji rosyjskiej".

W wydawnictwie „Pax" ukazał się zbiorek wierszy Kiłakowiczówny, obejmujący jej twórczość z lat 1944—1945.

Z poezji obcej mamy tylko „Wybór poezji" Goethego, który ukazał się w ramach Biblioteki Narodowej w Ossolineum; poezje czeskiego współczesnego poety S. Neumanna zawarte w jego tomie pt. **„Wybór poezji i prozy"** („Czytelnik") oraz **„Słowo o wyprawie Igora"** (PIW) w przekładzie Juliana Tuwima.

Zaznajomijmy się jeszcze pokrótce z nowościami z zakresu teatru.

Wybija się tu na pierwsze miejsce swym ciężarem gatunkowym i... nie tylko gatunkowym, wspaniały, oprawny (na kredowym papierze) album z wyborem **„Pięciu komedii"** Aleksandra Fredry. Imponująco wyglądający tom, ilustrowany przez J. M. Szancera, obejmuje **„Zemstę"**, **„Śluby panieńskie"**, **„Pana Jowialskiego"**, **„Pana Geldhaba"** i **„Nowego Don Kichota"**. Tak „przyrządzony" przez PIW Fredro jest znakomitą ozdobą biblioteki i jeszcze bardziej znakomitym prezentem.

Kilka pozycji jednocześnie wypuściła Biblioteka Dramatyczna PIW-u. Kogóż tu nie znajdujemy w tym towarzystwie? Jest Bernard Shaw (**„Uczeń diabła"**); Sałtykow, Szczedrin (**„Śmierć Pazuchina"**); Lope da Vega (**„Wędka Feniksany"**); Perzyński (**„Szczęście Frania"**); Schiller (**„Intryga i miłość"**); Aleksander Ostrowski (**„Małżeństwo Bielugina"** i **„Ostatnia ofiara"**).

„Czytelnik" wydał tekst znanej u nas już ze sceny komedii E. Kipparda: **„Szekspir pilnie poszukiwany"**.

Zakończmy dzisiejszy przegląd **„Wojną żaków z panami"** (WL) Romana Brandstaettera, nową krotochwilną komedią znanego dramaturga przypominającą tak popularny w średniowieczu gatunek sceniczny: intermedium plebejskie.

Zbigniew Dolecki

* * *

CZŁOWIEK nie łatwo rezygnuje z własnych osiągnięć, nie łatwo godzi się z przekreśleniem tego czego dokonał, a co w jego rozumieniu było słuszne i pożyteczne. Pragnie, aby dzieło jego życia przetrwało i dopomogło następnym pokoleniom. W czasie, gdy faszyzm pozbawił wiele narodów wolności, a tysiące patriotów więziono w obozach śmierci w czasie, gdy chciano, aby człowiek wyrzekł się siebie — już wtedy zaczął rodzić się bunt. Dachau, Gross-Rosen, Bergen-Belsen, Oświęcim — to nie tylko miejsca, w których niszczono człowieka, to także miejsca, w których człowiek zaczął cenić życie. Dla tych, którzy potrafili jeszcze myśleć, cena życia wzrosła niepomiernie.

Życie należy cenić. Dlatego ludzkość protestuje przeciwko groźbie nowej wojny. Protest ten wzmaga się z każdym rokiem. Pod Apelem Wiedeńskim złoży swój podpis każdy uczciwy człowiek, każdy kto ceni życie. Do rzędu wielkich manifestacji przeciwko kataklizmowi grożącemu światu należy również zjazd antyfaszystowski z udziałem byłych więźniów z kilkunastu krajów Europy, który odbędzie się 17 kwietnia w Oświęcimiu.

W tej części obozu, gdzie znajdowały się niegdyś komory gazowe i krematoria, w których śmierć znalazło ponad 4 miliony ludzi — więcej niż w czasie wszystkich bitew, jakie stoczono nad Marną podczas pierwszej wojny, ustawiona zostanie Urna-Sarkofag. 17 kwietnia delegacje z kraju i zagranicy złożą do niej przywiezione ze sobą prochy i ziemię zebraną z setek miejsc kaźni hitlerowskiej. Manifestacja ta urasta do miary wielkiego symbolu, symbolu niezłomnej woli pokoju wszystkich narodów. Oświęcim, miejsce, w którym zabijano ludzi — ma być przypomnieniem tamtych tragicznych dni, a równocześnie ostrzeżeniem przed nową klęską, jaka może spaść na ludzkość, gdy rozpętana zostanie nowa wojna, gdy użyty zostanie atom.

„Wojna atomowa może zaludnić świat potworami" — pisze biolog Chrystian Champy. „Przetworzone atomowymi wybuchami mikroby mogłyby osiągnąć przerażającą jadowitość" — mówią Fryderyk i Irena Joliot-Curie. „Liczba niedorozwiniętych zwiększy się wśród potomstwa Japończyków, którzy ulegli działaniu bomby radioaktywnej. Upływają lata, a skutki wybuchów atomowych przetrwają i wzrosną i będą wydawać swoje straszliwe owoce" — stwierdza prof. Hermann Müller.

Trzeba zagrodzić drogę tym, którzy takie właśnie niebezpieczeństwo stwarzają światu, którzy, tak jak przed laty hitlerowcy, są zwolennikami zniszczenia, mordu i śmierci.

Oświęcim przypomina tamte czasy i... ostrzega.

*

OJCIEC SYMFORIAN

ZAPRZYJAŹNILIŚMY się w oświęcimskiej kopalni żwiru. rąbiąc przemarzłą ścianę piaskowca. Potem Arbeitsführer rozrzucił nas po różnych oddziałach pracy i po różnych blokach. Spotkaliśmy się znowu w kilka miesięcy później, maszerując do Birkenau, jako pierwszy transport skazanych na wyniszczenie.

W jednej buksie obraliśmy sobie legowisko. Leżeliśmy grzejąc się własnymi ciałami i przykrywając trzema wielkimi płaszczami, podarowanymi nam przez niedobitki transportu jeńców radzieckich. Ci mieli dużo płaszczy. Po trzech miesiącach Oświęcimia z 11 800 zostało ich 400 zabijanych codziennie przez tyfus i 40 kryminalistów, którzy za miskę zupy „wykańczali" kolegów.

Ojciec Symforian leżał tuż obok Ziółkowskiego. Łódzki tramwajarz, typ łobuziaka z Brzezin, okrywał go płaszczem („żeby ten klecha za szybko nie kipnął"), przynosił mu (z tegoż samego powodu) kromki chleba kradzione w nocy sztubowym i prowadził swoiste dyskusje na temat sprawiedliwości i Boga. Tymczasem blok powoli wymierał. Już na trzeci dzień w sąsiedniej buksie umarł inżynier Gałecki z Wilna. Tegoż dnia student Widawski z Radomia zwariował z głodu i był powoli zabijany przez rozbawionych sztubowych, wszelkiego rodzaju międzynarodowych wykolejeńców. Ci sami kryminaliści zbierali przez cały dzień martwych lub konających nędzarzy wyrzucanych z buks. Naturalnie wyrzucanego obdzierano z ubrań i bielizny, aby służyła tym, którzy jeszcze trwają. W myśl praw oświęcimskich: silniejszym. Głód malał. Nie dlatego, żebyśmy dostawali coś do jedzenia. Nie. Głód dokucza tylko do pewnego czasu, a potem wycieńczony do ostatnich granic organizm umie się doń przyzwyczaić. Umieliśmy więc leżeć bez ruchu nie myśląc o niczym. Nie mówiliśmy dużo, by nie narazić się władzy, i nie braliśmy udziału w walce o zupę stawianą ku uciesze SS-manów na środku bloku. Zabawnie, według nich, wyglądały wyścigi kościotrupów i zapasy o miejsce przy kotle.

Patrzyliśmy z góry na ucieszone gęby Scharführera Mohla i szczeniaków z Hitlerjugend. Na radość, jaką im sprawiało strzelanie w ten skłębiony, niedbały o kule, tłum głodnych. Na ludzi nieprzytomnych, oszalałych, depczących się, bijących na oślep nożami tylko po to, by ręce zanurzyć w kotle z rozgotowaną brukwią.

Ilekroć na korytarzu rozgrywała się scena „rozdawania żywności", Jurek Jabłonowski wzywał nas do spokoju, Staszek Grudziński usiłował szukać porównań z piekłem Dantego, Ziółkowski dosadnie i ohydnie klął, a ojciec Symforian mówił modlitwy za konających.

Dzień Ojca Symforiana przyszedł 8 kwietnia.

Zapowiedział go „Henio Hotelarz", handlarz żywym towarem, pełniący funkcję młodszego sztubowego, a potwierdziły „truponosy".

Miało się to stać wieczorem. Wieczorem miano „wykańczać" blok śmiercią straszniejszą niż to w komorze gazowej. Straszniejszą niż głód i kij, który przecież w ciągu ułamka sekundy rozłupuje czaszki. Na blok mieli przyjść „specjaliści". Ci sami, którzy wymordowali rosyjski dwunastotysięczny obóz jeniecki. Ci z piątego bloku, który nawet nam wydawał się piekłem, gdy wył nieludzkim skowytem mordowanych ludzi. Za robotę mieli otrzymać nasz przydziałowy chleb. Blok zamarł w przerażeniu. W naszej buksie też było cicho.

Jurek opowiadał mi szeptem pełne kochania wspomnienia o żonie, Staszek milczał, ojciec Symforian nie przerywał swoich modłów, a Ziółkowski jak zwykle, starannie dobierając słowa, klął.

Czy wiecie, jak krzyczy krajany żywcem człowiek? Tak zawył stojący przy wejściu do bloku warszawski tramwajarz Staszak, kiedy wbiegający „Mongoł" wbił mu zaostrzony kij w brzuch. Trup Staszaka leżał potem długo, strasząc nas, przywykłych przecież do makabry, niesamowicie wykrzywioną twarzą. Rozczapierzone, martwe już palce usiłowały wyjąć kij wbity w trzewia.

Własowcy rozbiegli się po bloku i naraz zawyło kilkanaście głosów. Czaszki pękały z hukiem rozbijanych butelek. Nad tym wszystkim górował głos „Matrosa".

— Ułożyć się po pięciu w buksie! Głowami do przodu!

Zakotłowało się po buksach, ale na krótko.

Leżeliśmy równo, głowami wprzód, uśmiechając się grymasem okropnym, w którym był strach, przymilność i zwierzęca prośba o darowanie życia. Scharführer Mohl, SS-mani i Niemcy blokowi śmieli się serdecznie z tego przedstawienia. Oprawcy zaglądali im w oczy szukając pochwały i aprobaty.

Willi, blokowy siedzący już sześć lat w lagrze, zatoczył się pijany i półprzytomny, aż w nasz kąt. Pokryte pianą usta mamrotały coś, czego nie rozumiał nikt, prócz „Jąkały", który rozejrzawszy się po bloku rzekł:

— Zaczynać!

Ruszyli ławą wąskim korytarzem. Patrzyli w wytrzeszczone oczy ludzkie i jednemu z pięciu czerepów zadawali cios ostatni. Trwało to 10 do 15 minut. Może więcej, może mniej. Spróbujcie mierzyć długość sekund w takiej chwili. Musiało to trwać dość długo, jeżeli nawet Scharführer się tym znudził. Główny zbir zwołał kamratów i coś im długo tłumaczył. Wiedzieliśmy, że przygotowuje drugi akt przedstawienia. Sztubendińści zaśmieli się, krzyknęli coś do siebie i zniknęli w wąskim korytarzu bloku. Niedługo domyślaliśmy się, co to może być.

Płaczliwym, żałosnym wołaniem jakiś nieszczęśliwiec prosił kogoś o litość, a potem zakrzyczał rozpaczliwie:

— Jezu, Maria. Wieszają.

Rozkrzyczało się tym samym wołaniem ze wszystkich stron. Po polsku, żydowsku, rosyjsku.

Krzyczący lamentowali krótko. Dłużej i przeraźliwiej wrzeszczeli ci, których wieszano za nogi i kończono uderzeniami kija w brzuch i podbrzusze. Wyciągani z legowisk nie stawiali oporu. Byli zbyt słabi, a poza tym wypychały ich dłonie pozostałych, ratujących się ich kosztem.

Nieczuły na nic, z ogromną pustką pod czaszką, czekałem na to, co szło ku nam nieuchronnie. Nie myślałem nawet o tym, kto z nas pójdzie pierwszy. Przerażało mnie tylko, że z pięcioma oprawcami szedł ku nam sam „Matros", denuncjator i kat oficerów Czerwonej Armii. Zatrzymał się przy sąsiedniej buksie. — Jewrej? — wskazał palcem starego Żyda, jakiegoś krawczynę z Kielc. Ten zrozumiał, co go czeka. Zamrugał przekrwionymi oczami, zabełkotał w języku, który miał być rosyjski. Schylił się do kolan rozbawionego olbrzyma. Nawet grupa hitlerowców, mimo obaw przed wszami, których było pełno na naszych płaszczach, przybliżyła się ku nam, nie chcąc nic stracić z zabawnego widowiska. Olbrzym powoli, starannie ujmował za gardło nieszczęśliwego, słuchając nieprzytomnych bełkotań o żonie, dzieciach, Bogu. Widziałem, jak palce zaciskały się na gardle. Jak oczy wychodziły z orbit. Jak wysoko podniesione ciało drgało w powietrzu skurczem rąk i nóg.

Willi i SS-mani bili brawo.

Na ten znak reszta ruszyła z nowym zapałem do roboty. Kije grzechotały w zdwojonym tempie. Blok wył, skowyczał, skamlał jak katowany pies. Jak blok żołnierzy radzieckich mordowanych co noc. Nagle tuż przed „Matrosem" stanął wielki kościsty Ojciec, Ojciec Symforian: — W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego — oprawcę zatrzymał szeroki, majestatyczny ruch ręki czyniący znak krzyża.

Chłop oczy wytrzeszczył i cofnął się w głąb sali.

SS-mani wyszarpnęli pistolety. Zgraja morderców zbiła się w gromadę sfrwożoną i zdumioną zarazem. Symforian umilkł na chwilę, a potem robiąc znak krzyża nad całym blokiem, rzekł do nas przyczajonych w kamiennych niszach, do faszystowskich katów nie rozumiejących nic z tego, co się dzieje, ale czujących zabobonny strach przed jego wielkością, i do Boga, który przecież patrzył wtedy na nas:

— Wszystkim konającym, wszystkim wam, którzy okażecie skruchę i żal za grzechy, w Imię Boga Wszechmogącego udzielam rozgrzeszenia.

— Bij go! — wrzasnął Willi.

Nie ruszył się nikt. Przed krzyżem cofnęli się oprawcy i herszty w niemieckich mundurach. W oczach blokowego — wściekłość, strach i szaleństwo. Nieprzytomny rzucił się wprzód i okrwawionym kijem trzasnął w siwą głowę. Symforian padł na kolana. Wstał. Zachwiał się i ostatnim wysiłkiem przeżegnał gromadę zbirów. Może nie widział już, kogo żegna krzyżem Chrystusowym, a może, wierny Jego nauce, udzielał im swojego przebaczenia. Mówił coś, czegośmy najbliżej niego będący, już nie rozumieli, i ze słowami tymi upadł na wskos, zagradzając mordercom drogę do naszej buksy. — Co on powiedział? — zapytał ochryple Mohl, który rozumiał po polsku. Spojrzał na rozbitą głowę, z której wraz z krwią wypływać zaczynał mózg, i nagle wrzasnął na oprawców:

— Raus! Schweine Banditen!

Ruszyli oszalałym pędem ku drzwiom.

Przez kilka dni nie mordowano nikogo na bloku. Ktoś przysłał nam kilka kotłów zupy. Po tygodniu zrobiono selekcję i część z nas, jakże mała, wyszła z bloku śmierci do roboty przy budowie dróg.

Przed opuszczeniem bloku rzuciliśmy na wagonik trupa ojca Symforiana. Ubrany był w mundur radziecki, w którym przyszedł na blok. Nikt mu tego ubrania nie zabrał. Nieśli go trzej z ocalałych: Staszek, Ziółkowski i ja.

Łódzki łobuziak miał twarz mokrą od łez. Trzymał mocno długie i kościste nogi ojca Symforiana, mamrocząc pod nosem jakieś okropne przekleństwa, albowiem z teorią przebaczania zbrodniarzom głoszoną przez księdza, do końca pobytu w obozie nie umiał się pogodzić.

Czesław Ostańkowicz

Ojciec Symforian to ksiądz Ducki, kapucyn z Warszawy.

Roman Madeyski: Projekt votum.

W dn. 27 kwietnia br. czyli w 10 rocznicę uwolnienia Dachau złożą księża, b. więźniowie obozów koncentracyjnych, na Jasnej Górze votum pamiątkowe.

O oświęcimskim teatrze Jaracza

NIKT by nie przypuszczał, że mały, o ziemistej twarzy zwyrodnialca, Lagerführer Fritsch był takim melomanem! Kiedy zapragnął mieć w Oświęcimiu Häftlingsorchester, na jego rozkaz wyłapano na blokach wszystkich muzyków i stworzono grające znakomicie Arbeitskommando.

Przez cały dzień oświęcimski towarzyszył nam, noszącym cegły, ciągnącym wozy, dźwigającym worki z cementem i katowanym przy wielkim walcu równającym teren pod plac apelowy — ryk trąb i przeraźliwy pisk fletów.

Próby orkiestry nie były przyjemne. Jeśli któryś z muzykantów wziął niewłaściwą nutę, Vorarbeiter, Volksdeutsch Nierychło, „zwracał mu uwagę", a jeśli pouczony mógł jeszcze potem ustać na nogach — grał staranniej. Jeśli Nierychło był w gorszym humorze — kończyło się na kopnięciu w brzuch, albowiem ten artysta stał zawsze na straży czystości muzyki.

W zespole grało stale pięćdziesięciu muzyków. Byli między nimi wirtuozi węgierscy, holenderscy, francuscy. Żydzi, Cyganie i Czesi. Najwięcej Polaków, którym przewodzili „danista" Adam Wysocki i Adam Kopyciński.

Drugi esteta, Oberscharführer Palitsch, też kochał muzykę. Nawet wtedy, kiedy prowadził na rozstrzelanie, zwykł był to czynić przy dźwiękach niemieckiego marsza.

Orkiestra obozowa, jak każde komando, miała swój Arbeitzeit. Co rano stawała przed bramą obozu — tą samą, nad którą wypisano: „Arbeit macht frei" — i grała tysiącom kolegów wychodzącym do pracy. Tym samym marszem witała ich, kiedy wracali z licznych komand oświęcimskiego kombinatu. Grała do taktu bijącym o bruk drewniakom i głowom tych, których ciągnięto z tej pracy za nogi. Tym, którym „praca" oświęcimska wolność już przyniosła.

STEFAN Jaracz orkiestrę oświęcimską usłyszał po raz pierwszy w dzień chłodny i dżdżysty, kiedy to SS-mani wyjątkowo gorliwie przyjmowali transport warszawskich „Politische Polen". Nie wiem, ile uderzeń kija spadło na jego głowę i plecy, zanim wreszcie dobiegł do bramy obozu łapiąc z trudem powietrze. Spojrzał na owo „Arbeit macht frei", na nas, ludzi w pasiakach przyglądających się z daleka transportowi, i od razu zrozumiał, gdzie jest.

Potem już spokojniej patrzał na malca wdeptywanego w błoto butami SS-mana (w takt marsza), na starca zagryzanego przez psy, na rozbijane kolbami głowy (w takt tegoż marsza) i na dziesiątki ciał wrzucanych na wóz krematoryjny. (..Eins, zwei, drei i... szerokim łukiem na wóz). Mówił mi potem, że najdotkliwiej dokuczył mu wtedy ryk trąb i hałaśliwy, rytmiczny pomruk bębnów, wdzierający się pod czaszkę.

OD tego czasu upłynęło wiele obozowych dni. Jaracz nie nazywał się już Jaraczem. Był po prostu „Politische Pole", zamiast nazwiska miał swój „Häftlingsnummer", a dzięki zabiegom przyjaciół, z tejże właśnie orkiestry, pracował w „Kartoffelschelerei". Siadywał najczęściej przy Leonie Schillerze, naprzeciw Stanisława Piotun-Noyszewskiego, Kazimierza Czapińskiego i do wspólnego kosza wrzucał obrane kartofle. Kartofle były półzgniłe i ciągnęło od nich wilgocią, która wykręcała więźniom palce, wykrzywiała stawy i nie pozwalała goić się ranom na stale mokrych nogach.

Pod kartoflarnię przyjeżdżałem codziennie po obierzyny dla SS-mańskich świń. Starzy przyjaciele, doświadczeni kombinatorzy obozowi, wrzucali do obierzyn skradzioną brukiew lub kilka marchwi. Zresztą wśród wyrzucanych kartofli znajdowała się czasem niezbyt zgniła sztuka.

Jaracz już po tygodniu pracy w kartoflanym raju przyniósł nam na blok ukryty starannie w spodniach ów skarb marchwiany. Rozdzielił go sprawiedliwie między wygłodniałą, słabnącą z dnia na dzień, brać aktorską i literacką.

Myślę, że w żadnym teatrze nie grał nigdy tak pięknej roli: roli człowieka obdzielającego głodujących.

ŻEBY pomówić o teatrze, zbieraliśmy się na placyku pod późniejszą „ścianą śmierci". Tą od rozstrzeliwań. Było tam bezpiecznie, bo Niemcy nie lubili widoku trupów układanych w misterne piramidy. I najwygodniej — bo tam stawialiśmy po pracy nasz wózek śmieciarski — katedrę jaraczowych wykładów o sztuce.

Kiedyś na tymże wózku poprawiał mi Jaracz jakiś wiersz. Taką sobie piosenkę obozową: o zupie, krematorium, o dalekiej dziewczynie, apelach i pracy. Na pobliskim bloku ćwiczyła swoje marsze obozowa orkiestra. Jaracz przeczytał wiersz raz i drugi i niespodziewanie, jak to zwykł czynić, zapytał:

— Czy wy, starzy więźniowie, macie tutaj jakiś teatr?

— Co takiego? Teatr?

— Tak. Żywe słowo. Ludziom trzeba to dać. Słowo podnosi głowy. W Oświęcimiu są i artyści, i literaci. Trzeba zagłuszyć czymś ten bęben i ryk trąb.

Tego dnia nie rozmawialiśmy już więcej o niczym. Wióczyliśmy się obozową Lagerstrasse na plac apelowy, wracając aleją za blokiem Strafkompanie, aż pod okna „rewiru". Raz, drugi, trzeci. Myśleliśmy o tym samym: zrodziło się w nas bowiem przemożne pragnienie dokonania rzeczy niemożliwej...

MYŚL stworzenia czegoś, co by współwięźniom zastąpiło książkę, żyła wśród nas na długo przed przyjazdem Jaracza. Literaci, aktorzy, a czasem ludzie nie interesujący się zawodowo literaturą, próbowali — mimo lęku przed denuncjacją — organizować na swoich salach czy po prostu przy pracy pogawędki literacko-naukowe. Na bloku szpitalnym Jan Koroiec streszczał Trylogię Sienkiewicza, gdzie indziej, po zgaszeniu świateł, rozpoczynali swoje opowiadania Kazimierz Czapiński, Stanisław Dubois, Stefan Lichański, Piotun-Noyszewski, Stefan Godlewski. Na sali ćwiczeń orkiestry zbieraliśmy się wieczorami, by posłuchać dyskretnie nuconej po polsku piosenki. Zdarzało mi się słyszeć opowiadania żołnierzy o ich walkach wrześniowych, nauczycieli mówiących o historii i kulturze polskiej, działaczy politycznych i naukowców. Było to bardzo dużo, ale przecież Jaracz powiedział więcej: Trzeba im dać „teatr".

NIE wiem, jakich sposobów i sztuczek użyli nasi wpływowi przyjaciele, „stare numery oświęcimskie", by wyjednać u Lagerältestra Bruna, niemieckiego kryminalisty, obietnicę przymknięcia oka na urządzanie na polskich blokach... wąsk zapaśniczych. Naturalnie po zajęciach i naturalnie na naszą odpowiedzialność, gdyby na taki wieczór przypadkiem wpadli SS-mani.

W tych to turniejach postanowił wziąć udział Jaracz i jego „teatr". Naturalnie, nie w głównych punktach wieczoru, a między walkami atletów. Miały to być jak gdyby „dodatki artystyczne", o których istnieniu, rzecz jasna, nie mówiono obozowym władzom.

Pytano mnie niejednokrotnie, jak to się mogło stać, że nie zdarzyła się nam ani jedna „wsypa"? Po czym koledzy czuwający przed blokiem poznawali, kto jest „nasz", a kto nie. Nie wiem. Myślę, że chyba tylko po twarzach wzruszonych i po oczach błyszczących gorączkową chęcią usłyszenia Jaracza. Nie mieliśmy bowiem żadnych dowodów swej polskości poza czerwonym trójkątem z literą „P" przyszytym pod numerem. Tylko jeden jedyny raz nad zespołem Jaracza zawisło widmo bunkra i karnej kompanii. Stało się to wtedy, kiedy „teatr" występował na piątym bloku. Może czujka zmęczona całodzienną harówką weszła na chwilę do sieni, by skryć twarz przed lodowatym podmuchem wiatru? A może siła Jaraczowego słowa była silniejsza nad obowiązek czuwania? Nie wiem. Pamiętam tylko strach, który wszedł na salę razem z Unterscharführerem. Kocie oczy SS-mana wybiegły jak szperacze spod czapki z trupią główką i ślizgały się po twarzach oniemiałych z przerażenia ludzi. Na chwilę zatrzymały się na sylwetkach „zapaśników" i dosięgły Jaracza, który powoli, spokojnie zdejmował bluzę, tak jak gdyby przygotowywał się właśnie do walki. Blokowy, niemiecki więzień polityczny, odważnie patrząc w SS-mańskie ślepie, zameldował mu, że „alles ist in Ordnung". Był wtedy tak samo blisko krematorium, jak i my, biorąc odpowiedzialność za to niedozwolone zebranie. Kiedy Blokführer wyszedł, została po nim cisza taka, jaką słychać w komorach gazowych w kilka minut po puszczeniu do nich gazu. Ciszę tę przerwała frywolna, obozowa piosenka, rzucona między nas przez rewelersów Kamińskiego i Jurasza. Piosenka ta drwiła z krematorium, śmierci, pracy i głodu. Z Vorarbeiterów, Kapów i z nas samych.

CO dzień zapowiadał występy Jaracza tearalny „wydział reklamy" — maleńki wózek obozowych śmieciarzy, przy którym znalazła lżejszą pracę cała brać dziennikarska przebywająca w on czas w Oświęcimiu. Wózek wkręcał się między bloki, wciskał między gromady pracujących kolegów, rozwożąc najważniejsze informacje dnia: — Czy przybyli „novi" i skąd? Co będzie na obiad? Czy w obozie nie ma „wybiórki"? Na którym bloku będzie dzisiaj Jaracz...

A Jaracz chodził po kolei na wszystkie bloki polskie. Równo rozdzielał między ludzi piękno polskiego słowa. Wiersz, prozę, piosenkę, beztroski humor obozowy. Programy opracowywali najlepsi pisarze i muzycy. Mimo grozy, jaką siała wśród nas karna kompania i „oddział polityczny", nikt nie odmówił Jaraczowi współpracy. Była więc co wieczór piosenka śpiewana przez Leona Schillera, monolog Dardzińskiego, humor Adama Wysockiego, chwila poetycka w wykonaniu Zbigniewa Sawana, rewelersi Kańskiego, tańce Woraczewskiego i Jurasza. Byli Lopek Brodziński, Antoni Trzaskowski, Ochrymowicz i wielu, wielu innych, mniej znanych, którym Jaracz pozwalał się wyśpiewać, wygrać, wypowiedzieć.

Pamiętam nasze wzruszenie, kiedy przed zebranymi stanął chłop spod Opoczna, by zadeklamować „Redutę Ordona". Jaracz mocno uścisnął mu dłoń i długo trzymał w objęciach obozowego kolegę.

Z CZASEM teatr rozrósł się, podwoił i potroił. Trzy zespoły chodziły równocześnie po obszernym miasteczku oświęcimskim. Jaracz, mimo pogłębiającej się choroby, mówił do ludzi dwa i trzy razy dziennie. Najczęściej nowele i opowiadania swojej koncepcji, dostosowane do potrzeb obozowego bytowania. Wiedział, jak panuje nad ludźmi, i potrafił kilkoma zdaniami przekreślać trudne do przekreślania konflikty. Zespalał robotników i inteligentów w zwartą społeczność obozową. Uczył czuć sprawiedliwość. Nie rozkazując — zabraniał Vorarbeitrom bić.

Kiedy stawał w swoim pasiaku na środku sali mając u stóp gromadę oświęcimskiej biedoty, zdawał się być opiekunem tych ludzi.

Kiedyś, po dyskusji nad nowym programem, ktoś z nas chciał podziękować Stefanowi za to, co robił dla nas. Za to, że kazał uśmiechać się pokiereszowanym twarzom, że podnosił czarne od brudu i skrzepłej krwi głowy. Jaracz, zamyśliwszy się nad czymś głęboko, rzekł:

— Po to uczyliśmy się teatru. Tak trzeba...

OTYM, że numer Jaracza wywołano na porannym apelu, dowiedziałem się późno. Pobiegłem pod blok jaraczowy. Stefan stał obok dwóch więźniów, którymi także zainteresowało się Politische Abteilung. Pierwszy stał spokojnie. Za to u drugiego, szpakowatego mężczyzny, widzieliśmy w oczach ten sam strach, jaki miewali ludzie idący na blok 13. Tego właśnie Jaracz mocno ściskał za rękę. Sam był spokojny. Może za spokojny. Kiedy „śmieciarze" podjechali wózkiem możliwie blisko, Jaracz rzekł:

— Pewnie „wsypa". Idą ze mną Schiller, Dardziński i Sawan. Wy róbcie dalej to samo. Podnoście ludziom głowy...

Spojrzał na obóz, na ludzi ciągnących ku bramie, na codzienny trud, i dodał:

— Jeśli ktoś z was dożyje wolności, niech powie w Warszawie, że za wszystkie przykrości, jakie miałem w teatrze, za wszystkie kłopoty w walce o mój teatr, za to wszystko, tu w lagrze, zapłacili mi Polacy z nawiązką. Nie zapomnijcie powiedzieć, że...

— Raus! — wrzasnął SS-man.

Szarpnął nami żal. Rozpacz ludzi, którzy tracą wielkiego przyjaciela.

JARACZ nie poszedł na śmierć. Nie rozstrzelano ani jego, ani żadnego z kolegów. Wyszedł za druty oświęcimskie na „wolność", która tylko nam mogła się wydawać wolnością. Wiem, że spędzał samotne dni z dala od okupowanej przez Niemców sceny. Że patrzał na faszyzm mądrym spojrzeniem człowieka, który widział Oświęcim. Niestety, choroba pogłębiona Oświęcimiem nie pozwalała mu już na podnoszenie głów w górę.

I wiem, że żaden z nas, którzy razem ze Stefanem Jaraczem planowaliśmy napisanie „Oświęcimskiego misterium", pisać go nie będzie.

Zabraklo Jaracza, jedynego odtwórcy głównej roli. *Czesław Ostańkowicz*